

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 10 (28)

Jerozolima, 16 maja 1944 r.

Rok II

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

KRYZYS PRAWA NARODÓW

ISTOTA KRYZYSU

I

Żyjemy na zakręcie dziejów, za którym może okazać się droga prosta, na której zachwiany wóz ludzkości odzyska równowagę, lub też niebezpieczny wybór, ku któremu zdążamy z nadmierną szybkością, ryzykując połamanie karków. Skala możliwości ogromna. Przy pewnym układzie sił ludzkości grozi niewola i wynikające z niej nieszczęścia: głód, upadek umysłowy, wojny. Z innego może zrodzić się nowy okres współpracy narodów, postępu cywilizacji i kultury.

Natura obecnego kryzysu jest bardzo złożona. Być może, że po upływie pewnego okresu, gdy znajdziemy panaceum na bolączki, obecnie przeżywane, będziemy mogli scharakteryzować nie negatywnie, ale pozytywnie chwilę obecną. Jakkolwiek choroba społeczna, której rezultatem jest dzisiejsza wojna, ma wiele znamion, to jednak istota jej polega na zagrożeniu więzi, łączącej jednostki i narody w społeczność wyższego rzędu. Podstawą tej więzi jest szereg stosunków i warunków ekonomicznych, społecznych, religijnych, kulturalnych i t. d. Wyrazem zewnętrznym tych rozmaitych stosunków i warunków, łączących lub dzielących ludzi, jest norma prawna. Dlatego też z najogólniejszego punktu widzenia, ujęciem najszerszym wszystkich najważniejszych przyczyn i stanów, które charakteryzują dzisiejszą ludzkość, jest kryzys prawa. Rozważania ograniczamy tylko do kryzysu w płaszczyźnie międzynarodowej i, konsekwentnie, do kryzysu prawa narodów.

II

Wszystkie zjawiska społeczne, a przez to samo i postęp, są wypadkową wielu sił. Nie ma zdarzenia, któreby zawdzięczało swe istnienie działaniu wyłącznie jednego motoru. Im bardziej szarmonizowany jest postęp oświaty, urządzeń politycznych i społecznych, złożoności ogólnej i jednostkowej, tym realniejszy i głębszy jest postęp społeczeństw. Czasami odbywa on się tak gładko, że nie ma miejsca na walkę z t. zw. reakcją. W tych jednak wypadkach, w których siły społeczne zamiast współdziałać, zaczynają się sobie przeciwstawiać, gdy postępu społecznego nie można uzyskać, a jednocześnie norma prawna nie potrafi wprowadzić koordynacji, wówczas następuje t. zw. kryzys.

Istotą kryzysu zatem jest, że sprzeczne siły działają bez hamulców prawa. Prawo znika w tym momencie z horyzontów życia społecznego. Jak długo jeszcze norma działa choćby w tym zakresie, że reguluje warunki starcia interesów, tak długo mamy tu do czynienia z zaburzeniem, które nie jest kryzysem w ścisłym tego słowa znaczeniu.

To tak charakterystyczne dla kryzysu zanikanie norm prawnych towarzyszy chwili dzisiejszej. Przypomnijmy sobie ze stosunków wewnętrznych zlekceważenie norm konstytucyjnych w państwach totalistycznych i nadawanie im mechanicznego znaczenia. W stosunkach międzynarodowych jest to jeszcze bardziej widoczne. Nie ma bodajże podstawowej normy prawa narodów, którejby nie pogwałcono. Co najważniejsze, państwa nie uznają najbardziej podstawowej z zasad, bez której nie ma normy prawa narodów: „Pacta sunt servanda”.

III

Kryzys dzisiejszy nie jest jedynym, jaki dotknął ludzkość. Pierwszy z nich, którego elementy zna dobrze historia, odbył się na przełomie czasów starożytnych i wieków średnich, kiedy rozpadło się Imperium Rzymskie. Jednocześnie tworzyła się jednostka chrześcijaństwa ówczesnego świata. Drugi kryzys miał miejsce na przełomie wieków XVI i XVII. Wojny religijne rozbiły jednolite ramy, obejmujące społeczność narodów chrześcijańskich. Powstała wówczas społeczność suwerennych państw, której kanonem były wolne porozumienia narodów, opierające się na zasadzie świętości umów.

By zrozumieć istotę przemiany, zachodzącej przy przekształcaniu się form współżycia narodów, należy pod każdy z panujących kolejno systemów podłożyć cały szereg czynników, które się na nie składały. Pod system władztwa rzymskiego nad ówczesnym światem należy postawić system gospodarczy, który polegał na eksploatacji pracy niewolnej, równość obywateli wobec prawa rzymskiego, równość narodów Imperium Rzymskiego i ich wewnętrznych systemów prawnych, poszano-

wanie dla wszystkich religii i wiar, o ile one jako ostateczne bóstwo uznawały Państwo Rzymskie. To były siły, które ciągnęły ten skomplikowany twór, jakim było Imperium. Gdy równość polityczna, przynależność wszystkim obywatelom, pozbawiła państwo oparcia społecznego (zanikła grupa konsolidująca, grupa obywateli), gdy osłabił system gospodarczy, a jednocześnie zjawiała się religia, która znalazła Boga poza państwem, wówczas Imperium rozpadło się, a nowe siły organizacyjne wzięły na siebie jego rolę. Powstała społeczność narodów chrześcijańskich, której kanonem było Pismo Święte i nakazy papieży. W tym systemie supremacja Boga chrześcijańskiego nad wszystkimi sprawami świata stała się taką samą siłą, cementującą ówczesną społeczność, jaką było prawo rzymskie i supremacja władzy państwowej w Imperium Rzymskim. Na miejsce systemu gospodarczego rzymskiego przychodził system nowy, feudalny, który w nie mniejszym stopniu stał się podwaliną nowego ustroju. Trwało tak długo, jak długo istnieje zgodność co do dogmatów, łączących ludzkość.

Przemiany gospodarcze, wzmaganie się spoiwości państw i ich władzy centralnej spowodowały upadek systemu. Rewolucja, która narastała od momentu, gdy na arenie politycznej pojawiły się siły i warstwy społeczne, dla których nie było miejsca w systemie średniowiecznym, szukała hasła i filozofii, mogącej zastąpić jednolitość religii. Współżycie narodów stwarzało konieczność znalezienia podstawy ideowej. Nowa idea przypominała w dużej mierze naturą okres poprzedni. Odwołano się do czystego pojęcia prawa, do prawa natury, które obowiązują wszystkich ludzi, niezależnie od wyznawanej wiary. Poprzez wieki średnie sięga znowu myśl ludzka do prawa rzymskiego. O ile idea prawa natury zjawia się stosunkowo wcześnie, o tyle nie wszystkie siły, które działają na korzyść systemu wolnych narodów, ujawniają się od razu. Dlatego też społeczność wolnych narodów przechodzi rozmaite stadia w swym rozwoju. Powstaniu teorii prawa natury towarzyszy powstanie gromady suwerennych państw. Pojęcia suwerenności nie można zawsze rozumieć identycznie. Ulega ono stopniowym zmianom. Stosunki między państwami w XVII w. były tego rodzaju, że w praktyce mogły istnieć państwa, nie znające wymiany międzynarodowej, ruchu ludności, międzynarodowych systemów monetarnych, krótko powiedziawszy, nie wpływające nawzajem na siebie (charakterystycznym przykładem była do XIX w. Japonia). Niemożliwością było natomiast zupełne odseparowanie (może poza wyjątkiem jedynej Rosji) poszczególnych społeczeństw narodowych, jeżeli idzie o międzynarodowe ruchy umysłowe.

Dlatego też, jeżeli przyjrzymy się powstawaniu norm i urządzeń prawa narodów w ciągu XVII i XVIII w., przekonamy się, że dotyczą one przede wszystkim formalnej strony współżycia suwerennych państw. Ugruntowanie niezależności prawnej, usunięcie pozornej choćby możliwości supremacji prawnej ja-

kiegoś państwa czy systemu nad innymi, stanowisko organów reprezentujących, prawo legacji, oto najważniejsze problemy, jakie stały obok prawa wojny przed umysłami ówczesnych prawników. Jednocześnie rozwijają się i zyskują powszechne uznanie dwa pojęcia: świętości umów międzynarodowych oraz prawa publicznego Europy. Obok pojęcia niepozybywalnych praw człowieka i obywatela powstaje pojęcie niepozybywalnych, naturalnych praw narodu.

Dopiero z biegiem czasu pojawia się jeszcze jeden czynnik, kształtujący stosunki międzynarodowe, z którego w najszerszym tego słowa znaczeniu wyrosła przyczyna dzisiejszego kryzysu. Z najogólniejszego punktu widzenia można postawić twierdzenie, że do końca wieków średnich, handel odgrywał dużą rolę w późniejszych Włoszech i powstają wielkie porty nad Kanałem, ale są to tylko wyjątki w obrazie ogólnym. Z biegiem czasu, zwłaszcza pod koniec XVIII w., a szczególnie w ciągu XIX w., gdy wzrost skali handlu nabiera cech masowości, zaczyna i handel odgrywać zasadniczą rolę w układzie stosunków między państwami. W szczególności w ciągu XIX w. merkantylizm ze swą koncepcją roli złota dzielił raczej niż łączył narody. Dopiero międzynarodowy liberalizm gospodarczy, ujęty w teorii Adama Smith'a, stwarza warunki, w których społeczność międzynarodowa, powstała z rozbicia chrześcijaństwa, zaczyna pełne życie.

Wpływ liberalizmu gospodarczego na stosunki między państwami wynika między innymi stąd, że koncepcja handlu międzynarodowego w teorii Adama Smith'a uznawała za bogactwo nie gromadzenie użytecznych czy wartościowych przedmiotów, które trzeba zdobyć w ten czy inny sposób, ale mniej lub więcej stały przyrost dóbr, który uzyskuje się drogą wymiany handlowej. Z tej koncepcji wynikała szczególnie konsekwencja prawnopolityczne. W takim systemie gospodarczym wszystkie państwa widzą interes swój w tym, by stan gospodarczy innych był daleki od bankructwa, by ilość partnerów w handlu międzynarodowym była możliwie wysoka, by stan polityczny w świecie nie przeszkadzał wymianie towarów. Wojna szkodziła międzynarodowym interesom gospodarczym. Im mniej konfliktów i więcej współpracy, więcej handlu międzynarodowego, tym więcej bogactwa.

W numerze:

A. Then: Sebastopol po raz pierwszy. — L. Kurdybacha: Konfederacja targowicka. — W. Szymański: Problemy bałkańskie: Turcja. — G. Rey: Hitler i Dżingiz-chan. — H. Zyberlast: „Lalka” Prusa. — I. Kejlin: Upton Sinclair odkrywa Polskę. — J. Pomian: Listy z Afryki. Nad pustynią i puszczą. Z. Broncel: Droga wiodła przez Irak. Poezja żołnierska z Rosji. — Fakty i komentarze. — gr.: Gen. Żeligowski. Z prasy obcej — ww: Przegląd polityczny. — J. Mar-tyka: Kronika filmowa. Nowy film polski.

W ten sposób system suwerennych narodów umocnił sankcję gospodarczą, grożącą za nieposzanowanie zasadniczych ustrojowych praw społeczności. Obok pojęcia suwerenności państwowej, świętości umów, więz gospodarcza narzuca zasadę nieinterwencji w stosunki wewnętrzne poszczególnych państw i zasadę współpracy celem ułatwienia stosunków między nimi.

W tym całym systemie działała jeszcze świadomość pochodzenia od wspólnego pnia kulturalnego, grecko-rzymskiego.

Norma prawa narodów była wyrazem tych wszystkich czynników, działających na rzecz społeczności międzynarodowej powstałej z rozbicia jednostki religijnej świata cywilizowanego. W ciągu XIX w. stworzyła ona względnie skuteczną więź, łączącą różne odłamy ludzkości w jedną całość. Wyrazem jej między innymi był szereg umów, szereg organizacji międzynarodowych, mających na celu ograniczenie wojen i korzystanie z sił i dobrodziejstw przyrody, oraz szereg orzeczeń sądów międzynarodowych, rozstrzygających skutecznie konflikty pomiędzy państwami.

IV

Prawo narodów rozwija postanowienia, chroniące te czynniki, które charakteryzują społeczność międzypaństwową XIX w. Uznanie zyskuje zasada wolności mórz, która jest logicznym uzupełnieniem systemu XIX w., jak poprzednio rację miała zasada podziału wpływów na poszczególnych morzach. Prawo potrafi pogodzić pozorne sprzeczności, które wyrastają jednocześnie. Rewolucja francuska rozpoczęła erę nacjonalizmu, handel międzynarodowy ujawnił gospodarczą współzależność poszczególnych narodów. W praktyce wynikło wzmocnienie stanowiska suwerennych państw, czego wyrazem jest np. prawnopolityczna teza legitymizmu Kongresu Wiedeńskiego.

Przy tak szerokim ujmowaniu sprawy trzeba pominąć pewne szczegóły, które z punktu widzenia dokładności historycznej mogą dawać podstawę dla odmiennych poglądów w kolejnych momentach czasowych. Działały bowiem niejednokrotnie siły, które z biegiem czasu traciły swoje znaczenie. Obok przekonania, że narody mają prawo do niepodległego bytu, istniało, zwłaszcza dawniej, przekonanie, że żaden z panujących domów nie może utracić całkowicie swoich posiadłości. Te dwa elementy mieszały się np. w rozmowie Talleyranda z carem Aleksandrem w Paryżu, gdy francuski minister spraw zagranicznych tłumaczył mu tezy prawa narodów.

Abstrakcyjność prawa narodów w naturalistycznej koncepcji, która mimo późniejszego pozytywizmu w nauce nigdy nie straciła na znaczeniu, była źródłem usiłowań ujęcia w normy ogólne wszystkich spraw współżycia między państwami. Wzrost komunikacji międzynarodowej, ruchy emigracyjne, rozwój przemysłu spowodowały, że te wszystkie starania, by ułatwić wymianę i obrót międzynarodowy, znajdowały coraz większe poparcie rzeczywistych interesów. Na tym tle idealistyczny prąd polityczny z końca XIX w. zaciesniania stosunków między państwami, popierania sądownictwa międzynarodowego wygląda bardzo realistycznie.

Jednak już wiek XIX nosi w sobie zarodki przyczyn upadu systemu. W Europie i na Dalekim Wschodzie powstają dwa środowiska szowinizmu, przekraczające znacznie wytrzymałość, ram, w jakich żyła społeczność międzynarodowa. Ponadto system liberalnego dostępu do wszystkich rynków świata, powstawanie nowoczesnych przemysłów, opartych o kapitalizm, obok stron dodatnich zaczęły wykazywać następstwa, niepożądane z punktu widzenia narodów ekonomicznie słabszych oraz warstw robotniczych. Kryzysy gospodarcze podkopały konstruktywną rolę systemu wolnej wymiany. Państwa zaczęły się bronić przeciwko niekorzystnym skutkom koniunktury i dekoniunktury międzynarodowej.

Z początkiem XX w. cały system gospodarczy, który stał za ustrojem społeczności międzynarodowej, zachwiał się poważnie. Objawem były czasowe, polityczne ugrupowania sił, które usiłowały prowadzić politykę równowagi na kontynencie Europy. Gdy jednak równowaga polityczna doznała wstrząsu, nikt nie był w stanie zatrzymać lawiny wypadków.

IAN LECHON

MICKIEWICZ ZMĘCZONY

Powróciwszy do domu od Sekwany strony, Mickiewicz się rozebrał z splamionej czamary I położył na łóżko. Nie był jeszcze stary — Lecz bardzo wiele cierpiał i był już zmęczony.

I oto ledwo zasnął, a w tej samej chwili Zobaczył starą ławkę nad srebrnym jeziorem I w sukni, którą miała pamiętnym wieczorem, W lekkiej woni akacji spłynął cień Maryli.

Jej wargi wyszeptaly: „Nasza miłość — cmentarz, Między nami jest morze, rozlane ogromnie. I za dnia tylko bitwy i wodzów pamiętasz, Lecz kiedy zamkniesz oczy, zawsze myślisz o mnie”.

Przedrukowano z nr 13 (65) nowojorskiego „Tygodnika polskiego” z dn. 26 marca 1944.

ALEKSANDER THEN

SEBASTOPOL PO RAZ PIERWSZY

Ekspansja

Przyczyny Wojny Krymskiej są niezwykle ciekawe przez swą międzynarodową zawikłość i długotrwałość. U jej źródeł leży w pierwszym rzędzie niebywała prężność imperialistyczna oficjalnej Rosji Mikołaja I. Przez rozbiory Polski nowoczesna Rosja przesunęła swe granice daleko na zachód poza swe właściwe terytoria etnograficzne. Oczywiście, wobec rosnącej potęgi nowego mocarstwa europejskiego, Prus, mimo postępującej dekadencji politycznej i militarnej Austrii, Mikołaj I nie mógł marzyć o dalszych postępach w głąb Europy. Złamanie Powstania Listopadowego dokonane zostało tylko przy wielkim wysiłku militarnym i przy cennej pomocy współrozbiorników. O wiele łatwiej mogła się dokonywać ekspansja na wschód i na południe. Zdobyte w Syberii, w centralnej Azji i na Kaukazie kosztom Chin, różnych plemion mongolskich, Persji i Turcji zwiększyły obszar imperium carskiego o 1/3. Ta łatwość podbojów zaostriżyła apetyt Mikołaja I, mimo że ani sytuacja gospodarcza i finansowa ówczesnej Rosji, ani stan armii rosyjskiej nie uprawniały cara do optymizmu.

Carska armia przedstawiała w tym czasie bezduszną maszynę, w której wiele czasu i środków poświęcano się na dryl na modłę fryderykowską, a nie na inteligencję, bardzo mało zaś na wyposażenie.

Mimo takiego stanu rzeczy energia Mikołaja I pchała go do nowych awantur międzynarodowych. Mikołaj I posiadał dwa potężne atuty, które wygrywał w swej polityce zagranicznej, ściślej mówiąc w europejskiej. Pansławizm, który pchał cara do uzurpowania sobie roli protektora wszystkich Słowian, i prawosławie, które kazało mu się opiekować współwyznawcami. Ponieważ zaś panowanie Mikołaja I (1826—1854) zbiegło się z postępującym upadkiem mocarstwowego stanowiska Turcji i jej cofaniem się w Europie po klęskę wiedeńską, pod panowaniem jej znajdowali się zawsze jeszcze Słowianie południowi i wszystkie ludy prawosławne poza Rosją, więc siłą faktu Mikołaj I wygrywał swe dwa potężne atuty jednocześnie przeciw Turcji. Pod tym względem car patrzył wiernie w portret Katarzyny II, która ogłosiła się opiekunką prawosławia w Polsce historycznej. Skończyło się to rozbiorem. Mikołaj I nie miał bynajmniej skromniejszych celów w odniesieniu do Turcji. On to był wynalazcą określenia Turcji, jako „chorego człowieka”, którego śmierć należy przyspieszyć. Na każdym kroku szukał z Portą zady. W r. 1849 pospołu z Austrią zażądał wydania politycznych uchodźców polskich, rozbitków insurekcji, a po odmowie wysłał do Konstantynopola Michała Radziwiłła z ultimatum. Wojna już wówczas wisiła na włosku.

Anglia lekarzem

Jeśli do tej wojny nie doszło, to jedynie dzięki Anglii, która stanęła wyraźnie i bezkompromisowo po stronie Turcji zarówno w tym konflikcie, jak i w następnych. Nie ulega wątpliwości, że i w Londynie zdawano sobie sprawę z ówczesnej słabości Turcji. Postem angielskim w Konstantynopolu był lord Stratford de Redcliffe, dyplomata niezwykle zdolny, o szybkiej i jasnej decyzji. Otóż lord Stratford, stanowiąc wyraźnie za Portą, poradził odrzucenie ultimatum Mikołaja I, mimo iż stały za nim dwa wielkie mocarstwa, gotowe do skoku. Uczynił to na własną odpowiedzialność, gdyż dopiero w miesiąc później uzyskał aprobatę swego rządu. Był to miesiąc wielkiej niepewności i troski dla posła brytyjskiego, po odrzuceniu bowiem przez Portę ultimatum nastąpiło automatycznie zerwanie stosunków dyplomatycznych Rosji i Austrii z Turcją. Nie mniej, to energiczne stanowisko przedstawiciela Anglii i rządu tureckiego w sprawie wydania uchodźców polskich powstrzymało Petersburg i Wiedeń od dalszych nieprzyjaznych kroków wobec Turcji, zaś uchodźcy polscy dla świętego spokoju wyjechali z Turcji. Została ich tylko garstka. Większa ich część pojechała na dalszą tużączkę do Ameryki (1851).

Walka o opiekę nad Jerozolimą

Od r. 1740 Francja posiadała uzyskany od Turcji przywilej nad miejscami świętymi na Wschodzie, głównie nad Jerozolimą i Betlehem. Ale faktycznie z tej opieki nie korzystała. Przywilej poszedł w zapomnienie, a miejscem narodzenia Chrystusa i Jego grobem zajął się kościół prawosławny w Turcji, czyli Grecy, z jakimś współudziałem Rosjan. Uzyskawszy zezwolenie rządu tureckiego, podnieśli z ruin świątynie chrześcijańskie, głównie Bazylikę Grobu Świętego, i otoczyli je stałą opieką.

Alisi w r. 1850 książę-prezydent, Ludwik Napoleon, przypomniał sobie dawny, a nie wykonywany przywilej Francji opieki nad miejscami świętymi na Wschodzie. Przypomnienie Turcji starego przywileju nie groziło jednak żadnymi komplikacjami międzynarodowymi. Tak się przynajmniej księciu-prezydentowi zdawało. I dlatego z wielkim zapałem postanowił objąć imieniem Francji faktyczną opiekę nad Ziemią Świętą. I napotkał na tej drodze rywala w osobie Mikołaja I, który zaprotestował formalnie w Konstantynopolu. Rząd turecki zdawał sobie dokładnie sprawę, że jakakolwiek

odmowa jednej stronie narazi go na grube nieprzyjemności. Chciał zyskać na czasie.

Czerwona płachta

Gdybyż to było wszystko! Ale w r. 1852 książę-prezydent ogłasza się cesarzem. Francja ma nowego cesarza Napoleona! Wiadomość ta spadła gromem na Petersburg. To będzie nowa monarchia rewolucyjna, zarodek nowych ruchów wolnościowych w Europie, która jeszcze nie odżyła po wstrząsach rewolucyjnych roku 1848-go. Mikołaj I przyjął notę francuską o tym wydarzeniu tak kwaśno, że w odręcznym piśmie formalno-gratulacyjnym do Napoleona III nazwał go tylko przyjaciele, a nie zwyczajowym w takich wypadkach bratem. Konflikt narastał. Mikołaj nie przestał myśleć o dobitcu „chorego człowieka”, a zmiana gabinetu w Anglii i powołanie do rządu nowego gabinetu tuzów dała mu okazję do powtórzenia oferty sprzed lat 9-ciu o ewentualnym rozbirocie Turcji, przy czym dał do poznania, że Anglia mogłaby zyskać na tej stypie pogrzebowej Egipt i Kretę. (Jakież to wszystko jest nam dziś geograficznie bliskie!). Na te kuszące propozycje rząd brytyjski odpowiedział raz wymijająco, drugi raz raczej stanowczo odmownie. W takiej sytuacji Mikołaj postanowił działać sam i energicznie. Wysłał z początkiem 1853 r. do Konstantynopola księcia Mienszykowa z żądaniem oddania Rosji opieki nad kościołem prawosławnym w całej Turcji. (Od lat kilkudziesięciu

ŁUKASZ KURDYBACHA

KONFEDERACJA TARGOWICKA

„Nieszczęśliwe skutki okazują się już z nadanych praw stanowi miejskiemu przez spisek warszawski; miasta te zaczynają się mурować, obcy do nich przybywać, a nawet w niektórych miejscach nieznane dotąd fabryki i rękodzieła zaprowadzać; mieszczenie wraz z szlachtą za panie bracie chcą kraju swego bronić i ofiarę składać. Przeto tak fatalnemu zgorzeniu kładąc wieczną zapórę, wszystkie przywileje, miastom przez spisek warszawski nadane, kasujemy.” Takie enuncjacje i zarzuty przeciw Konstytucji 3-go Maja rozszerzała po Polsce w 1792 r. Konfederacja Targowicka.

Nieco personalij

Kto tworzył tę swoistą organizację „patriotów” polskich, którzy wolność całego kraju, jego przyszłość i honor sprzedawali carycy Katarzynie za tysiące rubli, a swoją zbrodnię działalność pokrywali cynicznie miłością ojczyzny, przywiązaniem do tradycji polskiej i wolności demokratycznych. Na czele ich stał hetman wielki koronny, Franciszek Ksawery Branicki, ożeniony z nieślubną córką wspaniałej imperatrycy Wszech - Rosji (zawsze te małżeństwa), piastujący równocześnie dzięki żonnie nie godność jakiegos tam pułkownika, ale generała zwycięskiej w wojnie z Turcją armii rosyjskiej. W Petersburgu przebywał bodaj więcej niż w Warszawie. Na dwór Stanisława Augusta, któremu zawdzięczał buławę hetmańską, przyjeżdżał od czasu do czasu tylko po to, aby uknuć jakąś intrygę przeciw Polsce. Z niewiadomych przyczyn przysiągł na Konstytucję 3-go Maja razem z innymi. Czy chciał przez ten akt uspić czujność twórców nowej ustawy, czy też uczynił to ze strachu, — bo odwaga nigdy nie grzeszy, — trudno już dzisiaj rozstrzygnąć. W każdym razie zaraz po złożeniu uroczystej przysięgi wyjechał do Petersburga, aby pod dyktando carycy układać akt Konfederacji Targowickiej.

Do pomocy w zwalczaniu rządu polskiego, opartego na nowo uchwalonej konstytucji, przybrał sobie przede wszystkim duchownego w osobie biskupa inflanckiego, Józefa Kossakowskiego. Najlepszym sprawdzianem wartości moralnych tego karmazynowego „patrioty” była powtarzana przez ulicę warszawską na kilka lat przed Targowicą dowcipna anegdota w formie zagadki wierszowanej: „Biskup przystojny, mowa zabawny, — kursor wyborny, gracz w wista sławny, — intrygant zręczny, podszyty cnotą, — króla i naród odda za zioto.” Oczywiście rosyjskie, które pobierał od wielu lat w formie stałej pensji rocznej.

Dalsi Targowiczanie, jak Szezęsny Potocki i Seweryn Rzewuski, to ludzie obalamuceni wrogą propagandą, która nie jest bynajmniej współczesnym wymysłem. Wmówiono im, że Konstytucja Majowa jest grobem wolności szlacheckich, że punkt jej, znoszący wolną elekcję, godzi w podstawy demokracji polskiej, że działając przeciw rozpoczętemu chlubnie odrodzeniu naszego życia państwowego, spełniają najwstrętniejszy obowiązek wobec całej Polski i jej przyszłości.

Szukanie pozorów

Kiedy wspomniana czwórka zdrajców i rebeliantów zwróciła się oficjalnie do Katarzyny z prośbą o pomoc i interwencję dla obalenia Ustawy Majowej, spotkała się oczywiście z niezwykle serdecznym przyjęciem. Ale realizacja ich postulatów musiała ulec mimo wszystko zwłoce. Rosja nie chcąc ściągnąć na siebie ze strony oświeconej Europy zarzu-

Rosja posiadała prawo opieki nad prawosławnymi, a Austria nad katolikami tylko w stolicy Turcji). Zgoda Turcji na takie żądanie równałaby się udzieleniu pozwolenia na mieszkanie się carskiego rządu do spraw Turcji w każdej prowincji. W Konstantynopolu powstała panika. Minister spraw zagranicznych ustąpił, a wielki wezyr zwrócił się o pomoc do przedstawicieli Anglii i Francji. Posłów dziwnym zbiegiem okoliczności nie było podówczas w Turcji. Na czele poselstw stali chargés d'affaires. Obaj zalecili opór. Angielski wezwał flotę z Malty, która jednak została zawrócona z drogi decyzją Londynu. Rząd francuski natomiast wysłał ku Dardanelom swą eskadrę tulońską.

Anglia wysuwa się na pierwsze miejsce

Wypadki toczą się szybko i wysuwają Anglię na pierwsze miejsce w konflikcie, jakkolwiek w całym sporze dotychczasowym była raczej stroną bierną. Mienszykow otrzymał od rządu tureckiego odpowiedź odmowną i odjechał, a zaraz potem Petersburg rozpoczął koncentrację wojsk nad granicą lennych księstw Mołdawii i Wołoszy. Na groźbę przekroczenia Prutu Anglia i Francja odpowiedziały skierowaniem swych flot ku Dardanelom. Cała afera wywołała jednak niepokój w Austrii, zainteresowanej w wolnej żegludze na Dunaju. Rządowi austriackiemu udało się zwołać konferencję mocarstw do Wiednia, gdzie przyjęto notę, uzgadniającą stanowiska

tu bezwzględnych dążeń imperialistycznych, zażądała od Branickiego i jego towarzyszy zorganizowania w Polsce większego stronnictwa, któreby ją wezwało na pomoc przeciw znienawidzonej rzekomo Konstytucji. Wtedy Katarzyna wkroczy dla wyratowania ich zagrożonych wolności.

Sprytne ten postulat okazał się jednak niezwykle trudny, a raczej niemożliwy do zrealizowania. Na odbytych sejmikach ziemskich w 1792 r. całe społeczeństwo szlacheckie opowiadało się jednogłośnie za konstytucją. Sypane garściami ruble dla poparcia żądań rosyjskich nie odniosły żadnego skutku. Musiano wobec tego użyć wypróbowanego przez Rosję środka — terroru. W olbrzymich majątnościach Szezęsnego Potockiego na Ukrainie, Branickiego, Kossakowskich i Rzewuskich zmuszano drobną szlachtę siłą i pogroźkami do podpisywania protestów przeciw Konstytucji. Ale mimo takiego plebiscytu zdołano zwerbować zaledwie 14 osób, które udały się do Petersburga dla podpisania w dniu 27 kwietnia 1792 r. aktu konfederacji generalnej. Opracowana jednocześnie prośba do carycy o poparcie brzmiała: „Wielka Katarzyno, podobna bogom bardziej jeszcze przez chęć czynienia dobrze, niż przez posiadania przez nich władzę nieograniczoną, tobie jednej przystało być bogiem przyjaznym wolności polskiej.”

Zyskawszy w ten sposób pozory legalnego działania w charakterze obrońcy „gnębionych Polaków”, wysłała niebawem Katarzyna sześćdziesiąt parę tysięcy swoich żołnierzy na ziemię Rzeczypospolitej, polecając swemu posłowi w Warszawie złożyć deklarację, „że nie może być nieczułą na głos zażaleń, z którymi do niej udała się wielka liczba Polaków dla ratunku ojczyzny i odzyskania dawnej swej wolności i niepodległości”. Na parę dni wcześniej ogłosił Branicki wraz z towarzyszami akt konfederacji w Targowicy pod Łuckiem ułożony — jak już powiedziano — uprzednio w Petersburgu pod dyktando rosyjskim.

Dzieło Targowicy

Wprawdzie rosyjskim wojskom pod dowództwem generałów Kachowskiego i Kreczetnikowa nie udało się zniszczyć młodej armii polskiej, która w drobniejszych potyczkach pod Zielencami i Dubienką okryła się nawet sławą pod rozkazami ks. Józefa Poniatowskiego i Kościuszki, ale mimo to z chwilą zdrady Prus i przejścia na stronę Targowiczów Stanisława Augusta, losy Konstytucji 3-go Maja zostały przypieczętowane. Okręczana jako dzieło „spisku warszawskiego”, musiała ustąpić dawnemu bezprawiu i rządowi bagнетów rosyjskich. Deportacje na Sybir co znacznie szerszym przeciwników Rosji i konfiskaty ich majątków świętych dni swoich haniebnych tryumfów. „Żaden chłop — głosili targowiczanie — człowiekiem nie ma być nazwany, ale panowie będą ich używać jako koni i wołów”. Nie darowano nawet Komisji Edukacji Narodowej. Na jej miejsce miał powrócić zniesiony przez papieża zakon jezuitki, aby „uczyć gramatyki Alvara i trochę arytmetyki, nie wając się dawać innych nauk jako szkodliwych prawdom narodu naszego”.

Od całkowitej zagłady uratowała się jedynie młoda armia polska, przygotowująca się skrycie do wyruszenia niebawem pod wodzą Tadeusza Kościuszki do nowej walki z protektorką Konfederacji Targowickiej.

Taka jest prawdziwa historia Targowicy i jej czynów.

Rosji i Turcji. Rosja przyjęła tekst noty bez zastrzeżeń, Turcja zażądała później pewnych poprawek, a uczyniła to na podstawie prywatnej rady lorda Stratforda. W Petersburgu odrzucono wszelkie poprawki i cały taniec dyplomatyczny rozpoczął się od początku. Ale wojska Mikołaja I były już w Mołdawii. Za radą posła brytyjskiego rząd turecki zażądał wycofania tych wojsk, z tym, że odmowa doprowadzi do wypowiedzenia wojny.

Wojna

Jednocześnie armia turecka pod dowództwem Omara paszy przeszła Dunaj i mimo zimy kroki wojenne faktycznie się rozpoczęły. A jednocześnie dyplomacja pracowała gorąco w Wiedniu celem jej rychłego bezkrwawego zakończenia. Noty krzyżowały się między stolicami, zostały jednak podarte salwami dział floty rosyjskiej, która dopadła flotyllę turecką w drodze z Konstantynopola do tureckiego podówczas Batumu i zniszczyła ją doszczętnie pod Sinope. W historii bitwa ta zyskała sobie miano „masakry pod Sinope”, co dostatecznie ilustruje przebieg bitwy, a wiadomość o „masakrze” przyjęta została w Paryżu i w Londynie z oburzeniem. Widoczne było, że była to odpowiedź na zeszłoroczną decyzję Anglii i Francji wysłania flot przez Dardanele na morze Czarne. Car postanowił zniszczyć flotę turecką, zanim zostanie ona wzmocniona przez floty jej zachodnich sojuszników. W sytuacji, jaka się wytworzyła po Sinope, dyplomaci nie mieli już nic do powiedzenia. Flota sprzymierzona otrzymała rozkaz oczyszczenia morza Czarnego z okrętów rosyjskich, poczem miała zawrócić do Konstantynopola. Jeszcze jeden wysiłek dyplomatyczny przywrócenia pokoju, przedstawiony w Petersburgu, został przez cara odrzucony na wiadomość o odwołaniu floty sprzymierzonej. Uznał ten fakt za wycofywanie się z awantury tureckiej mocarstw zachodnich. Pomylił się.

Był już styczeń 1854 r. W lutym przedstawiciele dyplomatyczni zostali odwołani. Mocarstwa zachodnie wystosowały do Petersburga ultimatum z żądaniem wycofania armii rosyjskiej z Rumunii, a wobec odmowy cara wypowiedziały Rosji wojnę. Podniecone obecnością oddziałów francuskich i angielskich w Warnie, wojska tureckie wyrzuciły armię rosyjską za Prut. Ale opinia publiczna w Anglii i we Francji zażądała odwetu za Sinope, wskazując wyraźnie na konieczność zniszczenia Sebastopola, wówczas twierdzy tylko morskiej, nie lądowej, stanowiącej stałą groźbę dla Turcji. Lądowanie wojsk sprzymierzonych nastąpiło we wrześniu 1854 r. Już w tydzień później wojska sojusznicze stoczyły pierwszą pomyślną bitwę nad rzeczką Alma, na północ od Sebastopola, i mogły bez zbędnego wysiłku dostać się do nieumocnionej od strony lądu bazy morskiej. Dowództwo sojusznicze przeceniło jednak wartość carskiego żołnierza i jego siłę i zamiast rwać naprzód, poleciło oboje twierdze i zdobywać ją od południa, gdzie były przystępniejsze lądowiska. Dowództwo rosyjskie nakazało zatopienie floty rosyjskiej u wejścia do bazy, by zabezpieczyć się przed jednoczesnym atakiem flot sojuszniczych. Zanosilo się na regularne oblężenie. Te same nazwy, które dziś zmartwychwstają w zwycięskich komunikatach sowieckich, powtarzały się przez szereg miesięcy w komunikatach sojuszniczych: Bataklawa, Czarnaia, Małakow, Inkerman i t. d. Cholera, przywleczona przez wojska sojusznicze z Warny, dziesiątkowała wojska z tej i z tamtej linii frontu. Zima była ciężka, żołnierz sojuszniczy nie był należycie wyposażony, dowód z Bataklawy pod Sebastopol był niezwykle uciążliwy, namioty nie dawały żołnierzowi dostatecznej ochrony przed zimnem. Opinia w Anglii zaczęła się burzyć, parlament też, i rząd lorda Aberdeen runął.

Jeszcze raz usiłowano pośród huku dział na Krymie zakończyć wojnę wysiłkiem dyplomatycznym. Jeszcze raz obradowała konferencja dyplomatów w Wiedniu. Nie udało się. Wojna potoczyła się dalej. Ale wojska sojusznicze były już bez porównania lepiej zaopatrzona i były już dobrze. Szczególnie Francuzi odznaczali się walecznością. Przeciwnie, sytuacja wojsk rosyjskich pogarszała się z dnia na dzień. A był już czerwiec 1855 r. Czas był już kończyć oblężenie. Bitwy pod Czarnaia, w której odznaczyli się Włosi, i zwycięstwo Francuzów nad Małakowem, zmusiły Rosjan do wycofania się na północ i do zniszczenia resztek własnej floty. Wojska rosyjskie były pobite. Napoleon syt był sławą, w Anglii uznano, że odwet został dokonany. Austria i Prusy obawiały się nowych ruchów narodowych w Europie, ku czemu parł Napoleon III. Pokój pozwolił państwu autokratycznemu utrzymać w niewoli POLSKĘ. Mimo to wojna toczyła się jeszcze rok aż do zupełnego upadku Sebastopola. Pokój Paryski zawarto dopiero w marcu 1856 r.

Straty

Przy stosunkowo niewielkim natężeniu bojowym i nieznacznym zaangażowaniu sił straty były kolosalne po obu stronach. Przyczyną była ostra zima i cholera. Rosjanie stracili 110,000 w zabitych. Cyfra niekompletna, nie obejmuje bowiem zmarłych na chorobę i inne choroby, a jedynie padłych od kuli na polu walki. Francuzi stracili ogółem 95,000, Anglicy 20,000 Turcy 30,000 i Włosi 2,000.

WITOLD SZYMANSKI

PROBLEMY BAŁKAŃSKIE*)

TURCJA

Ze wszystkich państw, sprzymierzonych z Niemcami w pierwszej wielkiej wojnie światowej, jedynie Turcja nie pozwoliła sobie narzucić warunków pokoju i wymogła na Aliantach przyjęcie swych postulatów. W tej wojnie Turcja jest jedynym chyba państwem na świecie, które, będąc w kluczowej i niebezpiecznej pozycji, nie tylko zdołało uchronić się od wojny, ale także ciągnie z niej niewątpliwie korzyści. Te dwa fakty wystarczałyby w zupełności dla usprawiedliwienia wielkiego zainteresowania, okazywanego temu krajowi, zarówno przez polityków i dyplomatów całego świata, jak i przez wszystkich ludzi, studiujących zagadnienia polityki międzynarodowej. Ale to jeszcze nie wszystko. W prze-



Stara Turcja. Cmentarz w Scutari.

ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat w samej Turcji dokonano przewrotu obyczajowego i politycznego tak zupełnego, że może on być porównywany tylko z rewolucją rosyjską.

Już od początku XVII w. potężne Imperium Otomańskie, mocno osiadłe na trzech kontynentach, od kilkuset lat trzymające w ucisku ludność chrześcijańską półwyspu Bałkańskiego, zaczęło powoli chylić się ku upadkowi. Przez dwa wieki następne historia Turcji to historia stopniowego wycofywania się z odległych kresów imperium, przede wszystkim z Bałkanów, pod naporem Rosji i Austrii, dążących na południe.

W okresach, gdy te państwa współpracowały ze sobą, jak np. gdy wspólnie doprowadziły do rozbiórów Polski, były one dla Turcji jak najbardziej niebezpieczne. Chwile takie były jednak rzadkie i Turcja zdołała uratować się od zupełnej zagłady właśnie dzięki antagonizmowi i rywalizacji pomiędzy Rosją a Austrią. Jeszcze jeden czynnik wywarł wielki wpływ na bieg wypadków. Poczynając od końca XVIII w., Anglia i Francja, pilnując swych interesów na morzu Śródziemnym, zaczęły interweniować w sprawach tureckich. W XIX w. większość polityków angielskich trzymała się słynnej zasady obrony niezależności i całości Imperium Otomańskiego nie tylko w teorii, ale i w praktyce. Z tego stanowiska mocarstw zachodnich wynikał ich udział w wojnie rosyjsko-tureckiej 1853 r. oraz konflikt angielsko-rosyjski w 1877 r., który o mało co nie doprowadził do wojny.

Równocześnie ze stopniowym upadkiem potęgi państwa otomańskiego wzrastała na jego terenie wpływy państw obcych. Polityczna i ekonomiczna penetracja obcych była ułatwiona przez strukturę państwa, mającego wielką ilość mniejszości narodowych. Turcy nigdy nie stosowali polityki asymilacji w stosunku do swoich mniejszości, przeciwnie, zawsze starali się je odseparować, w tych sprawach bowiem decydowało prawo religijne, oparte na Koranie i tradycjach, zabraniające współżycia z „niewiernymi”. Chrześcijaństwo i Żydzi, mieszkający na terytorium imperium, nie mogli brać otwartego udziału w życiu politycznym kraju, lecz równocześnie korzystali z daleko posuniętej autonomii w ramach swych gmin wyznaniowych, szczególnie w dziedzinie prawa spadkowego i małżeńskiego. Kierownicy poszczególnych gmin byli przedstawicielami interesów swych współwyznawców przed sułtanem. System ten stał oczywiście na drodze do jakiegokolwiek prawdziwej współpracy pomiędzy Turkami a narodami innego wyznania imperium, sztucznie podtrzymywał odrębność tych ostatnich i przyczynił się wydatnie do zaostrzenia pewnych problemów, które mogłyby być rozwiązane lub przynajmniej złagodzone w drodze samorządnej asymilacji. Można zaryzykować twierdzenie, że monopol na handel w całym imperium, zazdrośnie utrzymywany przez Greków, Ormian i Żydów, nigdy nie doszedłby do takich roz-

miarów, gdyby nie był oparty o tę szczególną strukturę społeczną.

Korzystając z tego położenia, pewne mocarstwa zaczęły mieszać się do spraw wewnętrznych państwa pod pretekstem obrony prześladowanej ludności chrześcijańskiej. Prawo obrony prawosławnych poddanych sułtana zastrzegła sobie Rosja w traktacie w Kuczuk Kainardzi w r. 1774 i w wielu traktatach następnych, zaś królowi francuskiemu przyznane zostało prawo opieki nad katolikami. Oprócz tego niektóre mocarstwa wymogły na sułtanie przyznanie specjalnych przywilejów handlowych i podatkowych dla swych obywateli oraz prawie całkowite wyjęcie ich spod jurysdykcji sądów tureckich. Tak powstał system t. zw. kapitulacji, umożliwiający konsulom i przedstawicielom dyplomatycznym niektórych państw szeroką ingerencję we wszystkie niemal dziedziny życia Imperium Otomańskiego.

I tak, życie imperium płynęło dalej, szczęśliwie nieświadome demokracji, zasady samostanowienia narodów, naukowego socjalizmu Marxa i pozostałych wymysłów zgniłego zachodu. Bałagan administracyjny, machinacje finansowe cudzoziemców i korupcja urzędników — Turcja jest przecież ojezyna „bakszyszu” — doprowadziły wreszcie do całkowitego zaplątania się rządu w nierozwiązalny węzłowiec wewnętrznych i zewnętrznych pożyczek i kombinacji i w r. 1876 do niewypłacalności. Sułtan musiał poddać się kontroli finansowej specjalnie do tego powołanej instytucji międzynarodowej. Wszelkie próby przeprowadzenia najmniejszych choćby reform napotykały stale na nieustępliwy opór wszechpotężnej ulemy (duchowieństwa), zazdrośnej o swe przywileje i kurczowo trzymającej się postanowień z góry objawionego prawa, regulującego życie społeczeństwa w najdrobniejszych szczegółach. A jednak, wbrew prawom ekonomii, wbrew logice i na złość Rosji, Austrii i prorokom politycznym, „chory człowiek Europy” jakoś żył dalej, raz po raz wymykając się śmierci dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, pomocy Anglii i wspaniałemu w swej prymitywności męstwu swoich żołnierzy.

Na jednym tylko odcinku nie zdołała ulema przeszkodzić wprowadzeniu nowych metod, opartych na wzorach europejskich: w wojsku. Reorganizacja w tej dziedzinie została po prostu narzucona przez życie, przez konieczność obrony granic imperium przed zakusami obcych. Ale i tu Turcy wlekli się na szarym koniu, korzystając z łaskawie im udzielonej pomocy „życzliwie” do nich usposobionych mocarstw.

Unowocześnienie armii pociągnęło za sobą konieczność przebywania dużej ilości młodzieży na studiach za granicą, a później zorganizowanie wojskowych i innych specjalnych zakładów, jak np. szkoły lekarskiej na terenie kraju. Szkoły kadetów i wyższe szkoły wojskowe stały się więc z konieczności rozsądnym środkiem na zachowanie i kolebką prawdziwego nacjonalizmu tureckiego w szerszych warstwach społeczeństwa, dostępne bowiem były dla wszystkich. Jednocześnie, w miarę postępowania procesu amputacji całych pałacy imperium i rozwijania się niezależnych form bytu narodów bałkańskich oraz dzięki wpływowi cudzoziemców i ich piśmiennictwa w końcu zeszłego stulecia powstały wśród młodzieży liczne tajne stowarzyszenia, przeważnie bardzo nieszkodliwe i łatwo wykrywane przez wszechwładzącą policję Abdul-Hamida. W jednym z takich klubów w Salonikach narodził się Komitet Zjednoczenia i Postępu, dążący do wprowadzenia ustroju konstytucyjnego i położenia kresu anarchii w państwie. Komitet, korzystając z pomocy Żydów — obywateli włoskich i łóż masonskich, szybko się rozrósł, opanował stacjonowane w europejskiej Turcji wojsko, z jego pomocą zagarnął w 1908 r. władzę, wypędził znenawidzonego Abdul-Hamida i wprowadził ustrój konstytucyjny. Jednak Młodoturkom, jak nazwano autorów rewolucji i ich zwolenników, nie było szkodliwym przeprowadzenie zamierzonych reform. Powodem były następujące po sobie wojny bałkańskie, wielka wojna światowa i wreszcie wojna z Grecją. Ze rozkładającą się państwowością potrafiło przetrwać te 10 lat zawieruchy wojennej, nie ulec i wejść bezpośrednio potem na drogę całkowitej przebudowy społecznej i gospodarczej — pozostanie na zawsze nieprzebijającym dowodem żywotności narodu tureckiego i wielkości jego przywódców.

Wciągnięta do wojny światowej przez intrygi niemieckie Turcja o mało nie straciła wskutek tego swej niezależności. Po zawarciu zawieszenia broni ze Sprzymierzonymi w r. 1918 nastąpiły dwa lata zupełnego chaosu. Mocarstwa nie mogły się pogodzić co do rozbioru terytoriów zupełnie bezbronnych, jak się zdawało, państwa. Angielskie, francuskie i włoskie wojska okupowały Konstantynopol i cieśniny, Syrię, Irak i Palestynę, a nawet niektóre części Anatolii. Skompromitowani przywódcy Młodoturków uciekli. Sułtan był lalką w rękach dowódców wojsk okupacyjnych, społeczeństwo pogrążone w zupeł-

nym bezwładzie, armia prawie nie istniała. Kurdowie domagali się autonomii, a Ormianie niepodległości. Korzystając z ogólnego zamieszania, Grecy postanowili zrealizować swe odwieczne marzenie o odbudowie cesarstwa bizantyńskiego ze stolicą w Konstantynopolu i za zgodą mocarstw a pod pretekstem wzięcia w obronę ludności greckiej, 15 maja 1919 r. wysadzili swe wojska w Smyrnie i okupowali miasto i okolice. Do tego czasu okupowane były terytoria przeważnie obce narodowościowo, na których utratę Turcy byli przygotowani; lecz w tym wypadku sprawa wyglądała o wiele poważniej, Grecy bowiem wdarli się do samej Anatolii i otwarcie mówili, że mają zamiar pozostać. Turcy zareagowali natychmiast. Pod kierownictwem Mustafy Kemala Paszy, wbrew groźbom Aliantów i woli sułtana, zabrali się gorączkowo do organizowania obrony.

Mustafa Kemal był zawodowym oficerem armii tureckiej, znanym w kręgach wojskowych zarówno ze swych wielkich zdolności, jak i buntowniczego charakteru. Urodził się w Salonikach w r. 1880, ukończył szkołę kadetów w Monastyrze, a następnie akademię sztabu generalnego w Konstantynopolu. Po otrzymaniu stopnia oficerskiego wrócił do Macedonii, przykładnie spełniał swe obowiązki i szybko awansował. Aczkolwiek zawsze twierdził, że jest żołnierzem z powołania, od najwcześniejszych lat wykazywał żywe zainteresowanie polityką. Będąc jeszcze uczniem, brał czynny udział w organizowaniu modnych w owych czasach kółek samokształceniowych, pisał poezję, studiował polityczną literaturę francuską. Jako student akademii zorganizował towarzystwo „Watan” (ojczyzna), na którego zebraniach wygłaszał piśmiennie przemówienia o konieczności obalenia despotyzmu sułtana i zreformowania państwa. Policja bez trudności wykryła Watan. Totem po powrocie do Salonik Kemal, choć należał do Komitetu Zjednoczenia i Postępu, zachowywał się ostrożnie. Zresztą, będąc gorącym nacjonalistą, nie bardzo się zgadzał z masonami. Po dojściu do władzy Młodoturków zupełnie nie brał udziału w ich pracy politycznej. Podczas wojny światowej walczył na wszystkich prawie frontach, wstąpił się zwłaszcza obroną Gallipoli. Bez względu na twarde, obdarzone olbrzymią energią, służył jednemu tylko ideałowi: stworzeniu mocnego, narodowego państwa tureckiego, uwolnionego od balastu obcych narodowości i od wpływu cudzoziemców. Taki był człowiek, który wziął w swe ręce losy Turcji w najtrudniejszym momencie jej historii.

Podczas gdy Kemal organizował nową armię turecką, sułtan 10 sierpnia 1920 r. zawarł ze Sprzymierzonymi traktat pokojowy w Sèvres. Na mocy tego traktatu prowincje arabskie miały przejść pod mandatowy zarząd Wielkiej Brytanii i Francji, Ormianom i Kurdom przyznano zostało prawo do ustanowienia odrębnych państw, cała południowa część Anatolii przypadała Francji i Włochom, cała Tracja i Smyrna — Grecji. Konstantynopol i cieśniny pozostawiono pod kontrolą międzynarodową. Aż dziw, że znalazło się jeszcze miejsce dla malenkiego sułtanatu tureckiego w Anatolii. Kemal nie uznał traktatu. Porwał cały naród za sobą, przeprowadził wybory do parlamentu i uchwalił nową konstytucję, zdeponował sułtana i ogłosił republikę. Potem rozpoczął wojnę z Grekami, którzy usadowili się naokoło Smyrny. Początkowo Grecy szybko szli naprzód, i zapędzili się aż pod Ankarę. Odwrót ich jednak był znacznie szybszy. W 1922 r. wojna zakończyła się zupełnym zwycięstwem Turcji, a w kilka miesięcy później, 24 lipca 1923 r., Kemal wygrał jeszcze jedną bitwę, tym razem dyplomatyczną: w traktacie lozańskim uznano zupełną niezależność i suwerenność republiki tureckiej w jej obecnych granicach, zniesiono kapitulację i zgodzono się na wymianę ludności pomiędzy Turcją a Grecją.

Odtąd Turcja weszła w okres pokojowych reform wewnętrznych. Marzenia narodowców zaczęły przybierać realne kształty. Najbardziej doniosłą zmianą było najpierw rozdzielenie, a potem zupełne usunięcie sułtanatu i kalifatu oraz laicyzacja państwa; sprawa ta została definitywnie załatwiona z chwilą, gdy w r. 1928 wykreślono z konstytucji paragraf, mówiący, że Islam jest religią państwa tureckiego. Skutki: zniesienie poligamii, wprowadzenie obowiązkowego małżeństwa cywilnego, zniesienie zakonów religijnych (derwiszów i innych), emancypacja kobiety, złamanie potęgi duchowieństwa i ograniczenie jego wpływów na sprawy polityczne do minimum, a przez to umożliwienie dalszych postępowych reform, a mianowicie: wprowadzenie nowych kodeksów prawa cywilnego, karnego i handlowego, opartych na wzorach zachodnich, zwłaszcza szwajcarskich; reforma językowa i wprowadzenie alfabetu łacińskiego, czynne i bierno prawo wyborcze dla kobiet (1934 r.). Niektóre posunięcia wywoływały u cudzoziemców uśmiechy pobażania, jak np. zakaz noszenia fezu. Turcy jednak na ogół

zgadzali się ze zdaniem Tekina Alpa, pisarza, który wywarł ogromny wpływ na społeczeństwo tureckie, że właściwym celem tych wszystkich reform nie jest wymiana jednego nakrycia głowy na inne, lecz zmiana samej głowy.

Równocześnie rząd turecki dokładał wszelkich starań, by podnieść i usprawnić życie gospodarcze kraju. Gorzkie doświadczenie nauczyło Turków nieufności do kapitału obcego, a ponieważ kapitał rodzimego nie było, państwo musiało i na tym polu wziąć kierownictwo w swoje ręce. Po początkowym okresie usprawnienia środków komunikacji i podniesienia rolnictwa, w r. 1934 wszedł w życie pięcioletni plan uprzemysłowienia kraju, który już daje doskonałe wyniki. Anatolia jest bogata w minerały i węgiel i ma wszelkie dane po temu, by umożliwić powstanie przemysłu, zaspokajającego najważniejsze potrzeby kraju.

Osiągnięcia w dziedzinie kultury i szkol-



Harcerze tureccy.

nictwa są równie imponujące. Przez wprowadzenie łatwiejszego alfabetu udostępniono naukę szerokim masom ludności. Otwarto wielką ilość szkół zawodowych i handlowych, zorganizowano sieć domów ludowych, mających za zadanie popieranie życia kulturalnego, utworzono drugi uniwersytet w Ankarze; nakład wydawnictw periodycznych, książek i prasy codziennej zwiększył się kilkakrotnie w przeciągu kilkunastu lat. Być może, że Europejczykowi Turcja wcale nie wydaje się takim cudownym krajem społecznego postępu, uprzemysłowienia, jak to może wynikać z powyższego szkicu. Oczywiście, Turcja jest jeszcze bardzo daleko w tyle w porównaniu do takich krajów jak Szwecja lub Szwajcaria, lecz można stwierdzić, że zaczyna już przścigać na wielu polach kraje bałkańskie. Tylko ci, którzy pamiętają Turcję z pierwszych lat po wielkiej wojnie, lub z lat wcześniejszych, mogą mieć właściwą skalę porównania i zdają sobie sprawę z tego, jak olbrzymie postępy osiągnięto we wszystkich dziedzinach życia publicznego. Z drugiej strony nie należy zapominać, że potrzeba bardzo długiego czasu, by utrwalił te wszystkie przemiany. Turcja jest wciąż jeszcze krajem, gdzie społeczny i gospodarczy proces przekształcania się i scalania jest w pełnym toku, krajem gospodarczo i wojskowo słabym w stosunku do swego położenia geopolitycznego.

Tu właśnie leży klucz do zrozumienia polityki zagranicznej tego państwa. Myślą przewodnią tej polityki jest pokojowe współżycie ze wszystkimi sąsiadami, bo póki jest Turcji konieczne potrzebny, by doprowadzić do końca konsolidację i reorganizację kraju. Zrozumienie tej prostej prawdy niezmiennie towarzyszyło wysiłkom dyplomatów tureckich od pierwszych dni życia republiki. Wysiłki te szły w dwu kierunkach: utrzymywanie jak najlepszych stosunków z Rosją Sowiecką, z którą Turcja ma długą granicę kaukaską, i wyeliminowanie wszelkich kwasów w działaniach z krajami bałkańskimi i Anglią w celu zabezpieczenia granic północno-zachodnich i południowych.

Przyjaźń i współpraca z Rosją Sowiecką nawiązane zostały od samego początku jakby samorzutnie, bo Sowiety pomogli Turkom bronią i pieniędzmi w czarnej godzinie walki z Grecją. Przyjaźń ta otrzymała swój wyraz w przymierzu z r. 1925, przedłużonym i rozszerzonym w r. 1929, i przetrwała bez większych zaburzeń aż do dnia dzisiejszego. Dotyczyła ona jednak tylko dziedzin polityki zagranicznej, albowiem rząd turecki trzymał się konsekwentnie zasady zwalczania obcych wpływów na swoim terenie i energicznie przesładował rodzinnych komunistów.

Stosunki z Grecją uległy wyraźnej poprawie, gdy zakończono przesiedlenie ludności i zlikwidowano pewne zaręgi graniczne, tak że w r. 1930 Turcja zawarła z nią porozumienie, uznając granicę ówczesną za definitywną, a w trzy lata później pakt o nieagresji na przeciąg dziesięciu lat. Układy te przyczyniły się bardzo wydatnie do zacieśnienia stosunków między niedawnymi przeciwnikami i umożliwiły im współpracę nad osiągnięciem szerszego porozumienia pomiędzy państwami bałkańskimi.

(Dokończenie na str. 11)

*) Por. nr. 3 (21) „W Drodze” Bułgaria, 7 (25) — Rumunia, 8 (26) — Grecja.

GUSTAW REY

HITLER i DŻINGIZ-CHAN

NA MARGINESIE CZĘSTYCH PORÓWNAŃ I DWÓCH KSIĄŻEK¹⁾

Często można się spotkać z twierdzeniem, że Hitler wprowadził nowy styl i nowe metody do stosunków międzynarodowych, że jego taktyka oszukiwania ofiary poprzez zakłamanie traktaty przyjaźni i piątą kolumnę oraz izolowanie jej oporu w drodze koniunkturalnych zapewnień, udzielanych ewentualnym jej sojusznikom, stanowią wstrętne, ale oryginalny sposób zdobywania świata. Hitler nie był lubiany, podziwiano jednak jego metody, widząc w nich znamiona jakiejś makabrycznej wielkości. Przerażały zbrodnie, tępienie słabych i niezdolnych do pracy, rozstrzeliwanie zakładników, ale brutalna umiejętność mobilizacji tak dużych i różnych rezerw przemysłowych i ludzkich w tyłu krajach okupowanych wywoływała uczucie podziwu nawet w obozie alianckim, gdzie znaleźli się prorocy, głoszący dziś potrzebę utrzymania również po wojnie „europejskiej wspólnoty nowego ładu” — prawda, bez jej wodza.

Weźcie błoto w obie ręce!

Korzenie się przed (przemijającą) potęgą brutalnej siły nie jest czymś nowym. Już o niektórych przeciwnikach Napoleona zaznaczano z ironią, że obrzucając go jedną ręką błotem, w drugiej trzymali uchylony przed nim kapelusz. Kto jednak przeczytał Heidenę biografię Hitlera, tego nieśmiało wykołujećca życiowego, dziękującego Bogu za wojnę, która go wyciągnęła z nędznych azylów wiedeńskich, tego szpilę Reichswehry, który z ochłapów różnych programów i ideologii ukuł za nie zawsze aryjskie pieniądze broń na zgubę narodów; kto czytał powieść Feuchtwangera o Fałszywym Neronie, komedianta, który uwierzył we własne powołanie cesarskie i na wysokim szczeblu władzy także i innym wydawał się zaczął wyższym; kto zna opinie psychologów mas, że cały sekret powodzenia Hitlera kryje się w jego genialnej przeciećności, w tym, że sam wódz najlepiej reprezentuje elementarne instynkty niemieckiego tłumu — ten weźmie błoto i do drugiej ręki.

Bowiem nie tak nie imponuje Hitlerowi, jak przyznanie mu wielkości, bodaj makabrycznej. Zresztą sięga po nią sam, przyrównując siebie często do wielkich zdobywców świata, rozpoczynając antyrosyjski pochód akurat w tym samym dniu, w którym to uczynił Napoleon. Marząc o sławie Imperatora, miał nadzieję uniknąć jego błędów. Stało się na odwrót: powtórzył błędy, uniknął sławy.

Legenda Napoleona okazała się silniejsza od jego kłeski: po Elbie przyszedł „sto dni”, a po św. Helenie wspaniały grobowiec w Paryżu. Tłum (zarówno możny, jak prosty), który zazwyczaj mierzy wielkość miarą bezpośredniego powodzenia, dla Bonapartego zrobił wyjątek. Zwycięzcy Napoleon był czczony również po tryumfie jego wrogów, podczas gdy nawet zwycięzcy za życia Cromwella zostali wyklety już w pierwszym roku restauracji królewskiej w Anglii, trupa jego powieszono, a pamięć shanbiono na dwa stulecia, póki wielki Carlyle nie zrehabilitował jej na wieki.

Nie trudno dojrzeć, że nieubłagany bieg wypadków zamknął przed Hitlerem drzwi do Panteonu wdzięczności zawiedzionego i zniszczonego narodu, zostawiając furtkę do losu Cromwella. Czy znajduje się jednak Carlyle, któryby go potrafił zdjąć z szubienicy opinii współczesnych i przyszłych pokoleń? Wątpimy; jeśli się znajdzie, nie będzie to Carlyle.

Wielki człowiek, czy Herostrates?

W r. 1840 Carlyle opublikował słynny swój cykl odczytów „O bohaterach, kulcie bohaterów i bohaterstwie w historii”.

Trudno nam dzisiaj zgodzić się z tezą, że „historia świata — to biografie jego wielkich ludzi”, nie mniej jednak nie jedno ze spostrzeżeń wybitnego myśliciela zastanowi nas i dzisiaj.

„Wielki człowiek — twierdzi Carlyle — jest jak błyskawica z niebios; ludzka masa — jak materiał palny; oczekuje go i w zetknięciu z nim wybuchą płomieniem”.

Przypominamy sobie pierwsze lata narodowego socjalizmu i wydaje się nam, że Carlyle wypisał tu in falsum legitymację wielkiego człowieka (jako „bohatera-władcy”) również na imię Adolfa Hitlera.

Złudzenie jednak nie potrwa długo. Wystarczy Carlyle trzy główne cechy, które według Carlyle’a właściwe są wielkim ludziom, aby kandydat został za drzwi.

Pierwsza — „szczerokość, głęboka, wielka, prostoduszna szczerokość”; druga — oryginalność myśli, jasnowidząca umiejętność formułowania tych dążeń, które czekają na realizację; trzecia — poczucie rzeczywistości, nie przyjmowanie ułud lub fikcji za prawdę.

Jeśli do tych cech dodamy jeszcze czwartą, która się z nimi łączy, sekret wielkości będzie odkryty dla Napoleona i Cromwella, zamknięty dla fałszywych mesjaszów. Naprawdę wielu ludzi, tworzący dzieje, są wyrazicielami i nosicielami historycznego postępu. Zarówno ich wielkość jak i ich działanie rozwijają się razem z marszem całej ludzkości lub (co najmniej) całego narodu.

Wielkość Cromwella polegała nie tyle na jego zwycięskich wojnach z królewską armią, Irlandią, Holandią czy Hiszpanią, nie tyle na przyłączeniu Szkocji, na zawojowaniu mórz dla floty angielskiej i „nawigacyjnego aktu”, ile na wyprowadzeniu Anglii na tory nowoczesnego kapitalistycznego rozwoju. Wielkość Napoleona utrzymywała się nie tylko dlatego, że nawet po klęsce militarnej Francja pozostała w starych, nieuszczerplonych granicach, napoleoński system prawnopaidstwowo nie naruszony, a stan jej finansów o wiele lepszy niż Anglii po zwycięstwie; jego wielkość polega przede wszystkim na tym, że nawet po zdławieniu jakobinizmu we Francji, napoleońskie pochodni, kruszące echem Wielkiej Rewolucji i bagnetem, ostrzonym jeszcze pod Valmy, feudalne kajdany Europy — były wydarzeniami postępowymi. Tej tradycji rewolucyjnej — słusznie czy niesłusznie — nie mogła Bonapartemu wybaczyć legitymistyczna Europa pomimo jego przesładowań jakobinów, ślubu z córką Habsburgów i korony cesarskiej, włożonej na głowę rękoma papieża.

Puszkina genialną intuicją poety tę dwiistość Napoleona określił słowami: „buntowniczej wolności spadkobierca i zabójca”. A ubóstwiający go Heine, pisząc o Waterloo, twierdził, że w dniu tej bitwy Napoleon był chorąży europejskiej demokracji, rozumu i postępu, Wellington zaś — typowym junkrem arystokracji, lokajstwa, przestarzałych przesądów i przywilejów.

Hitlera nie dlatego ominie aureolą wielkości i wdzięczności, że zostawi po sobie zgłiszczę, deficyt, chaos i zniszczenie, że zastąpił Niemcy (rzekomo) „małymi”, a zostawi (na pewno) jeszcze mniejszymi, że zastąpił Europę mrurową, a zostawi spaloną. Ominie go dlatego, że będzie to jego jedyna spuścizna.

Cóż bowiem jeszcze zostawi? „Mein Kampf”, napisany złą niemiezczyzną, o ideologii kompilacyjnej, splagiatowanej i skompromitowanej? Nieureczywistniony stary sen o tyśiącletnim władztwie germańskiej rasy? Gruzy i zgłiszczę będą świadkiem tego, że „wielki człowiek” niemieckiego nacjonalizmu był bohaterem tylko na miarę Herostratesa.

W cyrku Durowa i w perspektywie historii

Przewidując zgłiszczę, Hitler wskrzesza pamięć pochodów mongolskich; wszak „wskrzeszenie martwych wodzów służy wywyższeniu nowej walki”. Na rok przed wojną ukazuje się w Berlinie monumentalne dzieło, napisane po niemieku przez Rosjanina Michaiła Prawdina p.t. „Dżingiz-chań und sein Erbe” („Dżingiz-chań i jego spuścizna”) — dzieło Mongolii do r. 1937. Olbrzymi materiał (imponujące opanoowanie) służył jako propagandzie „pour le roi de Prusse”, sugeruje bowiem, że do spadkobierców spuścizny należy zaliczyć tych, którzy niebawem wyruszą na podbój świata, oraz że takie przedsięwzięcie wymaga krwi, dyscypliny, okrucieństwa i zdrady. Nagrodą będzie łup dla poszczególnych zdobywców i wielkie imperium dla rasy zwycięzców. To też obraz mongolskich zdobywców często przypomina zdjęcie fotografa, używającego cieniowania w konieczności ostatecznej²⁾.

Do Dżingiz-chańa sięga Hitler również latem 1939 r., wydając ostatnie rozkazy rozpoczęcia wojny. W nrze 5 (23) „W Drodze” zreferowana została niedawno wydana książka Lochnera, długoletniego kierownika Associated Press w Berlinie, z nieznaną mową Hitlera do dowódców armii niemieckich w przeddzień napaści na Polskę³⁾.

W mowie tej znajdujemy m. in. takie uśtepy: „Nasza siła polega na naszej szybkości i brutalności. Dżingiz-chań oddawał na rzeź miliony kobiet i dzieci z premedytacją i lekkim sercem. Historia widzi w nim jedynie założyciela państwa. Co powie o mnie cywilizacja zachodnio-europejska, jest mi absolutnie obojętne. Wydałem rozkaz — i każe rozstrzelać każdego, kto wypowie choćby słowo krytyki, — że naszym celem wojny jest nie osiągnięcie jakiejś linii, lecz fizyczna zagłada nieprzyjaciela... Bądźcie twardzi! Bądźcie bez litości! Działajcie szybciej i brutalniej od innych! Mieszkańcy Europy zachodniej winni zdradzić ze zgrozy”.

Dla rozładowania uczucia zgrozy, narzucone nam przez iście mongolski rozkaz tępienia, i przez porównanie takich dwóch panów, jak Dżingiz-chań i Hitler — zwróćmy się na chwilę do — cyrku, w którym słynny Durow bawi na początku poprzedniej wojny światowej patriotyczną publiczność rosyjską tresurą swego pieska. Jak go nazwać? — pyta Durow publiczności. — Może Joffe? — rzuca on popularne wówczas nazwisko alian-

kiego wodza. — Nie — odpowiada clown — dla Joffe’a obraźliwe. — To może Wilhelm? — pada propozycja. — Dla pieska krzywdy — odpowiada Durow pod oklaski pełnej sali.

Otóż zaryzykujemy przy całej niepopularności Dżingiz-chańa twierdzenie, że porównanie go z Hitlerem jest dla niego krzywdą, bo Hitler „doścignął i prześcignął” mongolskiego wodza w sztuce tępienia i zdrady, ale nie zdolał przeciw odegrać w historii swego narodu tej roli budowniczego, jaką odegrał straszny chań w dziejach Mongołów. Przy tym Dżingiz-chań działał nie w wieku, kiedy i wojna była ujęta w jakieś ramy prawne (łamane przez Niemców), ale w czasie, kiedy okrzyk „biada zwycięzcom!” był normą, ogólnie przyjętą, stosowaną również w Europie i przedtem i potem. (Nie mówiąc już o konkwistadorach amerykańskich, o pochodach azjatyckich czy afrykańskich). Na odwrót — należy raczej podnieść, że w niszczyielskim pochodzie tatarskim nie było tej obłudy, w którą biała rasa oblekała swe krwawe zdobycze. Pałac i wyciśnięcie w pień Europę i Azję, chanowie nie stroili się przynajmniej w togi obrońców kultury i ludzkości.

Zresztą w naśladownictwie niszczyielskich metod tatarskich hitlerizm nie jest oryginalny, lecz wyraża pruskie uzasadnione prawo do spełnienia sposobu wojowania mongolskich zdobywców. Wojskowy historyk niemiecki, opisujący pamiętną rzeź dziesięciu tysięcy gdańszczan, dokonaną przez Krzyżaków, dodaje fachowo, że w sposobie postępowania Zakonu Krzyżackiego łatwo odnaleźć wzory sztuki wojennej Dżingiz-chańa.

Pogląd na pochody Mongołów, jako na bezmyślne naloży dzikich hord, był anachronizmem już w czasach Napoleona. Sam zresztą „bóg wojny” uważał, że Dżingiz-chań miał swoją określoną koncepcję podboju i światną ku temu organizację państwowo-wojskową. Dzisiaj wiemy z całą dokładnością, że w okresie, gdy Mongolia z rozdrobnionego ustroju plemiennego przekształcała się w państwo feudalne i gdy szlak między dalekim Wschodem a Zachodem stał się drogą do bogactw, zaś przeludnione i ekstensywnie eksploatowane pastwiska koczowników tatarskich nie mogły ich już wykarmić — Temuczyn (Dżingiz-chań), wysunięty przez feudałów oraz kupców karawanowych na „obranego przez niebo” chana, stał się mężem opatrnościowym Mongolii, brutalnym wykonawcą programu jej możnych warstw. Ze przy tym ścierał niejedną moźną głowę, nie zmieniał nic w tym obrazie — tak samo jak likwidacja kamarylli generalskiej, ścięcie Thyssena — nie przekreślał faktu, iż ujednolicenie Niemiec i marsz na Europę dokonane są przez Hitlera na „zamówienie społeczne” kapitału i militarizmu niemieckiego.

(W okresie niepowodzeń niemieckich ukazywały się rysy, zaczęła się walka, bunt starych konserwatystów. Będzie to tylko nieład w cofaniu się, panika pod hasłem „ratuj się, kto może”. Byłoby kłeską zwycięzców, gdyby zapomnieli w dniu tryumfu, kto był ich wrogiem „de prima ora”).

Ale wróćmy do Dżingiz-chańa i stwierdźmy odrazu, że jeśli w porównaniu ze zdobytymi państwami Chin lub Zachodu system mongolski, pomimo świetnych metod wojskowych, komunikacji, łączności, wywiadu oraz dyplomacji, stanowił formę niższą (i to rozsądziło w końcu imperium mongolskie) — to w dziejach samej Mongolii okres Dżingiz-chańa jest bezwzględnie nie tylko okresem świetności wojkowej i bogatych łupów, lecz również epoką wyższej formy państwowości, organizacji i — jakkolwiek dziwnie to brzmi, — kultury.

Organizator i reformator stepów

Nie będzie przesady, jeśli słowa Carlyle’a o roli, jaką Mahomet odegrał w dziejach Arabów, zastosujemy do roli Dżingiz-chańa w dziejach Mongołów. Wystarczy jedynie podać odpowiednie nazwy:

„Zjawienie się Temuczyna było dla tatarskiej rasy jakby wyjściem z mroku na światło. Biednemu narodowi pastuchów, bezśawnie blakającemu się po swych pustyniach od stworzenia świata, raptem przysłany został bohater, w którego mógł uwierzyć. Nieznany staje się znany, malutki urasta w cały świat; w okresie mniejszym niż pół wieku Mongolia rozprzestrzenia się po Karpatach z jednej strony, do Indii z drugiej. Ci Mongołowie, człowiek Temuczyn, te 50 lat — czyż nie jest to tak jakby iskra, jedna tylko iskra upadła w świat czegoś, co wydawało się żółtym piaskiem, nie zasługującym na uwagę; lecz naraz piasek okazuje się prochem wybuchowym, zapalającym się od Delhi aż po Węgry”.

Dokonać tego mógł Temuczyn (Dżingiz-chań) dzięki świetnej organizacji oraz po podniesieniu tatarskich nomadów do szczebla zdobywców.

Metoda łączenia plemion tatarskich była na początku ta sama, jaką Hitler użył przy Anschlussie Austrii lub Sudetów — siłą. Mongołowie zaskoczyli jednak nowy zupełnie stosunek do zwycięzcy; Temuczyn bowiem nie tylko nie zrobił z pokonanych Tatarów niewolników, jak to było w zwyczajach, ale

nawet przyjął ich do swego wojska i odrazu dopuścił do podziału łupów. A gdy podbił pod względem cywilizacji o wiele wyżej stojący szczebel Najmanów, zabronił wszelkiego rabunku, wziął ich wodzów na swoją służbę, połączył zawojowane plemię ze swoimi wężami krwi, podnosząc tryb życia tatarskiego. Od Najmanów właśnie przejął Temuczyn prymitywne pismo nomadzkie (uighur), a najmaniński inteligent, Tatatunga, główny doradca zwycięzonego wodza, stał się (mówiąc językiem dzisiejszym) „lordem-strażnikiem tajnej pieczęci” (na której był skromny napis: „Bóg na niebie, chań — na ziemi, to jest siła Boga. Pieczęć władcy całej ludzkości”), nauczycielem i wychowawcą bachorów chańskich. Ten Tatatunga spisywał wypowiedzi Dżingiz-chańa, jego „Jasak” (kodeks praw), które dotarły do nas jedynie w wyjątkach; dają one jednak razem z kronikami ówczesnych pisarzy wschodnich obraz wielkiej pracy wychowawczo-prawnej założyciela imperium mongolskiego, w którym widzieć należy nie tylko wybitnego wojownika, ale także organizatora i reformatora stepu.

Pierwszy okres swej działalności poświęcił Dżingiz-chań jedynie na zjednoczenie rasy mongoło-tatarskiej i na moralne oraz techniczne przygotowanie jej do podbojów. Wpajał Mongołom przekonanie o prymacie ich rasy, zgodę i jedność wewnętrzną, dyscyplinę, ćwiczył w sztuce wojennej, a tymczasem chłonną poprostu najdrobniejsze szczegóły o tym, co się dzieje za pustynią Gobi, za Altajskimi górami, za jeziorem Bajkał. Na tej bowiem przestrzeni — tysiąc mil ze wschodu na zachód, siedemset mil z północy na południe — dokonał się, niespostrzeżenie dla sąsiadów, zjednoczenie pół miliona Mongołów. Dla wzmocnienia państwowej jedności Dżingiz-chań stworzył dziesięciotysięczną gwardię przyboczną, przeważnie z synów stepowej arystokracji. Byli oni jakby zakładnikami poszczególnych szczebli, z drugiej jednak strony poprzez gwardię stworzył Dżingiz-chań zamiast rozproszonych księży i kacyków nomadzkich zjednoczoną warstwę dworzan.

W roku Pantery (1206) przygotowania były skończone. Temuczyn został ogłoszony Dżingiz-chańem. Pantera zrobiła pierwszy skok do światowego imperium. Po całym szeregu zdobywczych pochodów na mniejszą skalę, w latach 1211-1216 odbywa się zawojowanie Chin północnych; 1219-1222 podbój Chorezmu; 1221-1224 pierwsza wyprawa Mongołów do wschodniej Europy, powrót do Mongolii i przygotowania do podboju Indii; 1227 — śmierć Dżingiz-chańa.

Pragnąc natchnąć Mongołów poczuciem własnej godności, pewności siebie, a równocześnie odrywając ich od robót na polowania i wojny — Dżingiz-chań ustanowił, iż żaden Tatar nie może być użyty jako sługa lub do robót poniżających. Tym samym popyt na niewolników (jeńców) i co za tym idzie, pęd do wojny zdobywczej stały się jeszcze większe. „Największa radość męża — powiada Dżingiz-chań — to pobić wroga i pędzić ich przed sobą; jeździć na ich koniach i zabrać ich posiadłości; widzieć drogie im twarze pokryte łzami, zamknąć w ramionach ich żony i córki”. Dla wzmocnienia jedności i spoiwości gwałtem połączonych plemion jassy Dżingiz-chań bardzo ostro karał wewnętrzne krzywdy. Za kradzież konia, wołu czy wielbłąda sąsiada groziła śmierć; a po dziś dzień w niektórych rejonach Mongolii i Turkiestanu utrzymał się zwyczaj, że zabłąkanemu wielbłądowi nie da się wody, aby go zmusić do powrotu do swego gospodarza. Jassy zabraniały upijać się częściej niż trzy razy na miesiąc, dbały o czystość studzien i t. d.

Tryb wojenny i mobilizacja wszystkich zdrowych mężczyzn w wieku od 15-70 lat dla ciągłych wypraw wojennych postawiły kobietę mongolską na szczeblu wyższym niż w jakimkolwiek innym azjatyckim ustroju. Dżingiz-chań twierdził, że dobrych mężów poznaje się przez zalety ich żon; „Jeśli kobieta jest głupia i zaniedbana, nierozumna i nieporządna — widzimy w niej złe cechy jej męża. Jeśli prowadzi swe gospodarstwo sprawnie, starannie przyjmuje gości i posłańców i traktuje ich należycie, — podnosi godność swego męża”. To też kobiecie powierzano się nie tylko wychowanie dzieci, ale także prawo rozporządzania majątkiem rodzinnym. Mąż powinien mieć zaufanie do żony, a zdrada z jej strony karana była śmiercią. Kobieta również pełniła coś w rodzaju wojskowej służby pomocniczej; mąż dba o broń, ale żona ma w opiece jego ubiór wojskowy, torby siodłowe, „żelazną porcję” (mięso, kumys, tłuszcz).

Wielki bojownik

Głównym żywiołem Dżingiz-chańa była wojna. Potrafił ją tak świetnie organizować i prowadzić, iż każde zderzenie kończył zwycięstwem, mając prawie zawsze siły licznie mniejsze niż wróg (zdobycie 50-milionowych,

1) Michaił Prawdin: The Mongol Empire, London, 1941. W. Jan: Czingis-chań, Moskwa, 1942.

2) Dzisiaj już książka ta jest przetłumaczona na bez mała dziesięć języków świata, doczekała się w czasie wojny kilku wydań w samej Anglii, gdzie służąc propagandzie antyniemieckiej, jest obecnie reklamowana jako „historia narodu, który także dążył do światowego wladztwa”. To, co miało nęcić Niemców, odstraszają ma wolne narody.

3) Nie ręcząc za autentyczność tej mowy, widzimy jej wartość w tym, że mogła ona być wygłoszona, gdyż posiada wiele znamion ideologii i frazeologii Fuehrera.

4) Była więc ta ustawa szersza o wiele od aryjskich ustaw norymberskich, które zabroniły aryjczykom obojga płci służby u Żydów, lecz zezwalały na usługowanie bogatym Niemcom lub cudzoziemcom przez biedniejszych rodaków i rodaczki.

umocnionych i wielką ścianą otoczonych Chin północnych dokonał armią 200-tysięczną — w odróżnieniu od Niemców, którzy wygrzywali tylko przewagą masy ludzkiej i materialnej).

Jeszcze przed Europą Dżingiz-chan wprowadził powszechną służbę wojskową, (opartą na podstawach rodowych). Sąsiad w hordzie był sąsiadem w polu. Na czele wojska stali oficerowie generalnego sztabu („Juridzi“), odpowiedzialni za gotowość bojową ludzi i koni, zaopatrzenie, za sprawiedliwy podział łupów, za zniszczenie przy cofaniu się wszystkiego, co służyć może wrogom, za bezpieczeństwo obozu i dróg, za wywiad i t. p. Wojsko odbywało stale gry wojenne i manewry, połączone z polowaniem. Każdy żołnierz mógł zostać dowódcą, każdy dowódca był karany na równi ze zwykłym wojownikiem. „Dowódcą — mówi Dżingiz-chan — może być tylko ten, kto wie, co to głód i pragnienie, i w własnych przeżyć rozumie uczucie tych, których prowadzi“.

Podstawą siły mongolskiej była kawaleria, niezwykle szybka i obrotna; każdy żołnierz miał trzy konie, których dosiadał na zmianę, mógł przeto rozwinać wielką szybkość i do boju szedł na koniu wyczętym („przeklęty ten naród — pisał jeden ze współczesnych — tak szybko jeździ, że nikt nie uwierzy, póki sam nie zobaczy“); ubrojeni byli w broń do walki z bliska i z daleka: mieli łuk, strzały (które potrafiły przebijać na wskroś), szable, lance, lasso. Ale posiadali także artylerię — na grzbietach wielbłądów dzwigali miotacze ognia (straszna broń, używana później przez Saracenów przeciw Krzyżowcom), oraz katarpulty. Wojna z cywilizowanymi Chinami dała Mongołom ogromne doświadczenie, zwłaszcza w budowie i niszczeniu mostów i fortyfikacji, murów, w zdobywaniu warownych miast. Z Chin wziął Dżingiz-chan ze sobą (do dalszych pochodów) kunsztownych rzemieślników, inżynierów, specjalistów od zmiany biegu rzek, lekarzy, fizyków, uczonych i administratorów. Podczas pochodu żołnierz jadł mięso pędzonego w taborach bydła, a konie i wielbłądy trawę (umiały one odkopywać ją nawet spod śniegu). Gdy było im zimno, lub nie mieli wody, nadszczinali koniom skórę i pili ich krew. Na terytorium wroga — karmił ich zwyciężony.

Dyplomacja i strategia Dżingiz-chana zmierzwały stale do bicia wrogów w pojedynkę i po kolei. Walcząc z jednym, innym zapewniał bezpieczeństwo i wieczystą przyjaźń, choć celem każdego pochodu było podejść bliżej do „ostatniego morza“, gdzie się według ówczesnych pojęć kończył świat. Taktyka mongolska polegała przede wszystkim na zaskoczeniu. Podstawą jej był doskonały wywiad i niespotykana dotąd szybkość informacji. Po wszystkich drogach wielkiego imperium rozmieszczono posterunki pocztowe i konie dla gońców („jam“ — stąd rosyjski popularny jamszczyk). Goniec był świętym, gdzie się zjawiał, książę nawet musiał mu dać najlepsze miejsce dla odpoczynku i najlepszą konia. „Goniec pędzi jak strzała“ — miał ciało i głowę zabandażowane, aby lepiej mógł znieść mordercze tempo, spał w siodle, a koń jego miał dzwonki, na których dźwięk wszyscy ustępowali z drogi. To też Dżingiz-chan zawsze wiedział, co się wszędzie dzieje, wybierał odpowiednią porę i miejsce walki. Rozbijał zaskoczeniem i szybkością. Wydzielając małe oddziały, wywabiał wroga w zasadzkę, by następnie rozbić go głównymi siłami. Własne bezpieczeństwo marszowe doprowadził do szczytu: specjalna żandarmeria dbała o drogi; na przedzie maszerowały wachlarzem oddziały zwiadowcze; gros wojska szło poszczególnymi członami, aby w decydującej chwili i miejscu znaleźć się i uderzyć razem.

Pochód Dżingiz-chana na Chorezm przez góry Pamiru i Tian-Szanu (20 tysięcy stóp wysokości, na której marży konie i ludzie), podczas gdy spodziewany był od strony Amu-Darii — da się porównać jedynie z pochodami Hannibala przez Pireneje i Napoleona przez Alpy.

Każdy pochód był sumiennie przygotowany, przestudiowany, a środki — oceniał Napoleon — odpowiadały celom. Bitwa nad rzeką Kałką (1223) i rozgrom książąt rosyjskich nie był niczym innym, jak głębokim strategicznym wywiadem Dżingiz-chana. Dowódca oddziału, Sabutaj, przez rok pozostawał w rejonach „Żelaznego szlaku“ i studiował Europę Wschodnią. Śmierć Dżingiz-chana odroczyła ten pochód, który zorganizował jego wnuk, Batu-chan, w 18 lat później. Tenże Sabutaj, który studiował plany zawojowania Rosji, Polski i Węgier, był właśnie głównym doradcą w tym pochodzie, znanym w polskiej historii z morderczej walki pod Lignicą (1241 r.)⁵⁾.

5) Podczas gdy Mongołowie pochody swoje organizowali po dokładnym zbadaniu przeciwnika — świat na tyle nie orientował się, kim są nowi zdobywcy, że w r. 1221, po zawojowaniu Chin i rozgromie Chorezmu przez wojska Dżingiz-chana, na Bliskim Wschodzie, Egipcie i Europie rozeszła się wieść, że gdzieś na Wschodzie Dalekim powstała olbrzymia potęga chrześcijańska, na czele z królem Dawidem, synem Izraela, który gromi niewiernych i śpieszy z odsieczą osaczonym Krzyżowcom w Damietcie (u delty Nilu). Biskup ptolemejski, Jacques de Vitry, w liście do papieża, do królów Europy i do uniwersytetu paryskiego pisał: „Pojawił się nowy i możny protektor chrześcijaństwa, król Indii, Dawid“, na czele niezliczonych zastępów wystąpił przeciw niewiernym, pobit szacha, zażądał od kalifa bagdadzkiego wykupu na odbudowę ściany jerozolimskiej (ze złota i srebra).

W Europie podniósł się wielki hałas, specjalnie cieszył się Żydzi, gdyż kopista biskupiego listu omyłkowo zamiast „rex Indorum“, napisał „rex Iudeorum“, i Żydzi zbierali już pieniądze na wysła-

Chan rzeczywiście Dżingiz

Wielkości Dżingiz-chana nie wyczerpują świetne jego pochody i ich znakomita organizacja. Dopiero po zwycięstwach objawił on rys, który tak wyraźnie podkreśla u wielkich ludzi Carlyle: zmysł rzeczywistości.

W odróżnieniu od Hitlera Dżingiz-chan nie wątpił ani przez chwilę, że nie uda mu się opanować naprawdę podbitych narodów, zasymilować ich i narzucić im mongolskiej religii i ideologii. Po fanatycznych pochodach arabskich, w okresie wojen krzyżowych tolerancja (jak dziwnie brzmi ten wyraz na tle masowych okrucieństw) Dżingiz-chana wywołuje podziw. Nie tylko otoczył się on najmądrzejszymi ludźmi podbitych ras, ale, doceniając siłę fanatyzmu religijnego, ustalił, że „każdy może modlić się do jakiego chce Boga“, zabronił wprawdzie (ze względów politycznych) pielgrzymek do Mekki — „Boga można znaleźć wszędzie“ — ale rozkazał odbudować świątynie chińskie, mahometanśkie, żydowskie i chrześcijańskie. Wierzyć i kochać się — twierdził — może każdy, jak chce, musi jednak słuchać praw, przeze mnie ustanowionych, płać poddać i zabijać — tylko na mój rozkaz.

Była to wielka mądrość państwowa (niepiśmiennego nomada), zrozumienie, że zwycięscy barbarzyńcy mogą siłą zmuszać do uległości — i z tego czerpać korzyści — ale nigdy nie zdołają pochłonąć ujarzmionych, ilościowo i cywilizacyjnie silniejszych, narodów. Na odwrót, bał się on asymilacji, uważając, że obniży raczej ona hart Mongołów i burzy stopowy ośrodek jego imperium. Po każdym zwycięstwie cofał się do Mongolii. Nie zrozumiał tego jego następca, i wnuk wielki chan Kubłaj (1260-1294) przeniósł stolicę z małego mongolskiego Kara-Korum do starego Jenkingu, koronując się na imperatora Chin. Prawdin słusznie podkreśla, że oś równowagi światowego imperium została przez to zburzona, Mongolia stała się tylko jednym z wojennych okręgów; Chinięcy w końcu wchłonęli swoich zdobywców⁶⁾.

Imponuje również prawdziwa, szczerza dbałość Dżingiz-chana o jedność jego narodu i państwa. Będąc absolutnym dyktatorem, nie ustanawia absolutnej monarchii dziedzicznej, ale wprowadza kurultaj, radę arystokracji rodowej, która opiniuje w najważniejszych sprawach i ma wybrać najzdolniejszego na chana. Nie uchroniło to państwa od walk między rywalizującymi potomkami wielkiego chana, nie ulega jednak wątpliwości, że Dżingizowi leżało na sercu sława i wielkość niepodzielnej Mongolii, a nie tylko interesy dynastyczne. Przytoczyć warto legendę, którą przed śmiercią opowiada synom: były dwa węże, jeden wielogłowy z jednym ogonem, drugi jednogłowy z wieloma ogonami. Gdy przyszła zima i trzeba było szukać schronienia, głowy pierwszego węża zaczęły swarzyć się między sobą, każda szukała innej szczeliny, zapominając w końcu o ogniu, który został na powierzchni i zamarał. A gdy zamarał ogon, zdechły również głowę. Drugi wąż natomiast, mając jedną głowę, pamiętał również o schowaniu wszystkich ogonów i przetrwał wszystkie mrozy...

Dżingiz-chan dbał nie tylko o głowy. „Był on panem, który nigdy nie zapominał o potrzebach swoich ludzi.“ Tępiąc wrogów, oszczędzał swoich. Gdy szturmował miasta, gonił przed wojskiem dzieci i kobiety oblężonego narodu, chroniąc tym Mongołów przed strzałami, kamieniami, wrzaskiem obrońców. Nie nakazywał odwrotu, póki nie wracał ostatni jego oddział, napierany przez wrogów. Był on okrutny dla obcych, w dziejach swojej rasy natomiast odegrał rolę organizatora, reformatora i budowniczego, który dzikich nomadów przekształcił w naród państwowy o świetnej organizacji i o świadomości własnej wartości.

A Hitler? Przypomina go tylko okrucieństwem; wszak organizacja i ideologia zdobywcy istniały w Niemczech i przed nim. Zwycięstwa? — nie on był ich organizatorem. Chwila, gdy on stanął na czele armii (Stalingrad), jest też początkiem końca wojennej chwały.

Niemcy walczą dziś jeszcze na licznych frontach, bronią się z zaciętością, godną lepszej sprawy, tępią i palą całą Europę, — z świetnie zorganizowanego narodu państwowego stali się nomadami drugiej wojny światowej.

O generale Polignacu Francuzi, którzy go nie znosili, orzekli, że jest to „Wellington bez sławy.“ Hitler to europejski Dżingiz-chan bez jego sławy i zasług twórczych — (w ramach jego epoki i jego narodu).

nie delegacji, która na miejscu zdobyłaby relację o nowym królu żydowskim. Dopiero pochód Sabutaja na Kaukaz i Dniepr przyniósł wiadomość o strasznym narodzie, pijącym krew i burzącym wszystko na swej drodze. Ale nawet wówczas utrzymała się legenda, że ludzie ci „o krótkich nogach i długich tułowach“ na swych sztyndarach mają krzyż. Złudzenia rozwiała dopiero inwazja mongolska w r. 1241. Koszta złudzeń płaćca Europa — jak czyni to również i dzisiaj — zgłiszczami, niewolą i śmiercią.

6) Wnikliwa autorka „Historii 400 milionowego narodu“ podkreśla, że Chinięcy instynktownie odczuli, że najazdy Mongołów czy Mandżurów nie zagrażają istocie ich bytu, że barbarzyńcy najeżdżcy wcześniej czy później rozpłyną się w morzu chińskim. Dopiero Japończycy są pierwszymi zdobywcami, którzy stanowią groźbę istotną, gdyż jest rzeczą pewną, iż oni nie poddają się asymilacji zawojowanych, lecz na odwrót, będą dążyli do całkowitego wchłonięcia Chin. „Stad żywiłowy opór całego narodu.“

Ryzykowna zabawa

Żadna analogia nie jest pełna, a porównywanie odmiennych epok historycznych jest zabawą bardzo ryzykowną, chociaż pociągającą i efektowną.

Ucieczka w przeszłość zawsze była oznaką dławiącej rzeczywistości, a analogia historyczna — kamuflażem dla treści, którą wygodniej było wypowiedzieć w formie nie obnażonej. Historyzm bywał też bronią propagandy, służył otuchą, pouczał, że rozwój odbywa się zygawkowato, że załamanie się dziejów jest przemijające, podczas gdy zamiana mroku przez świt jest prawem stałym. Tym się może tłumaczy, że właśnie w ostatnich latach przed wojną mieliśmy modę na powieści i biografie historyczne. Vie romancée na Zachodzie spotkała się z nowym prądem na Wschodzie, gdzie pośpiesznie zakładano historyczne podkładki pod kult wodza i tradycji. Rzutowanie chwili aktualnej na przedstawianą przeszłość sprowadzało niejednokrotnie autorów z drogi prawdy historycznej. Feuchtwangerowi np. postawiono zarzut, iż w „Falszym Neronie“ zbyt „shitleryzował“ Rzym, wprowadzając nawet (dla pełniejszej analogii, z Goeringiem) rangę marszałka (Trebniusza), nieznaną w wojsku rzymskim. Pośledniejszy Jellusicz zagalopował się jeszcze bardziej i jego Caesar przemawia językiem co najmniej o 18 wieków później, bo używa nawet terminów „lewica“, „prawica“ (w sensie politycznym), utartych przecież dopiero od czasów Zgromadzenia Narodowego rewolucji francuskiej. Niektórych krytyków i znawców przeszłości irytowało to gwałcenie Klio na raty dla potrzeb chwili. Ale przecież teatr tak samo odważył się zagrać historyczne sztuki Szekspira we frakach.

Tętno wypadków aktualnych czuć również mocno w rosyjskiej powieści W. Jana p. t. „Dżingiz-chan“, która się ukazała w ZSRR w okresie, gdy podbój Hitlera podchodził pod Wołgę i Don. W przedmowie, stylizowanej w duchu literatury epoki przedmongolskiej, autor pisze:

„Człowiek, który przeszedł wstrząsające wypadki i zataił je, podobny jest do skapke, który owija w płaszcz skarły i zakopuje je w pustynnym miejscu, gdy już zimna ręka śmierci dotyka jego głowy...“

A jednak, gdy otemperowałem trzcinowe pióro i zanurzyłem je w stramencie, zamyśliłem się w niepewności... Czy starczy mi sił i sił, by prawdziwie opowiedzieć o bezlitośnie niszczącym ludu Dżingiz-chana i jego okrutnym wojsku?... Wahałem się długo, teraz jednakże doszedłem do wniosku, że w moim milczeniu nie ma żadnego pożytku i ośmielam się opisać największą klęskę, której równie nie znają na ziemi ani dzień, ani noc, i która spadła na całą ludzkość⁷⁾.

Cel książki zatem jest wyraźny. Historyzm, tak dzisiaj charakterystyczny dla ideologii sowieckiej, jest tu na usługach propagandy antyniemieckiej. Jeśli bronzowanie postaci Iwana Groźnego, Piotra I-go, czy Aleksandra Newskiego miało utwierdzić kult wodza i pobudzić naród do skupienia się wokół niego dla obrony ojczyzny — Dżingiz-chan Jana jest grozą przejmującym obrazem, co czeka narody, poddające się hordom zdobywców. Ale nastawienie propagandowe nie wyczerpuje ani nie umniejsza wartości książki. Powieść jest solidnie opracowana, fabuła (choć wielotłowa) jest porywająca, a barwny, stylizowany sposób pisania doskonale sublimuje aktualne tendencje, które rozsadzają ramy historyczne i wołają o porównanie.

Ein Volk, ein Reich, ein Fuehrer

Powieść zaczyna się w okresie, gdy zjednoczenie Mongolii i zdobycie północnych Chin już były dokonane. Mongołowie zaczynają pochód na szlaku, prowadzącym od Chin na zachód, poprzez Persję i Kaukaz aż do Wołgi, oraz przez zagłębienie morza Aralskiego, gromiąc po drodze potężne państwo Islamu, Chorezm.

W zderzeniu z Chorezmem poznajemy po raz pierwszy Mongołów i ich wodza. Wyższość pogańskich napastników nad wiernymi zarysowujemy się, nim jeszcze doszło do starcia między Mongołami a wojskiem szacha. Podczas bowiem gdy Dżingiz-chan jest dokładnie informowany o tym, co się dzieje w Chorezmie i na dworze Muchamedy, a zwłaszcza o antagonizmach narodowościowych (między Kipczakami a Turkmenami), podrywających spistość Chorezmu, — nikt z zagrożonych nie ma pojęcia o rzeczywistej sile i zamiarach wroga. Panuje nastroj podniosty, podtrzymywany przez nieświadomych pochlebców i świadomych zdrajców, zapewniających zgodnie, że w porównaniu z armią szacha „wojska Dżingiz-chana są zaledwie smugą dymu w mroku nocy“.

Pierwszą relację o Wielkim Kaganie przwozi mongolski poseł, dawny obywatel Chorezmu, Jałwacz. Jest on (postać historyczna) jednym z owych mądrych doradców, którymi otoczył się Dżingiz-chan, wybierając wśród narodów obcych lub ujarzmionych ludzi, orientujących się w terenie bliższym i dalszym.

„Wśród wojowniczych chanów tatarskich — zaczyna Jałwacz swoją relację — jeden, imieniem Temuczyn, odznaczył się szczególnym szczęściem w bitwach, okrucieństwem wobec wrogów, hojnością dla zwolenników i impetem w napaściach. Ten oto chan poprzednio widział nie mało biedy. Opowiadają, że w młodości Temuczyn był nawet niewolnikiem i z drewnianą kłodą na szyi wykonywał najbardziej ciężkie prace w kuźni wrogiego plemienia. Lecz zbiegł on stamtąd, zabijając

swym łańcuchem stróża, i później wiele lat spędził na wojnach, dążąc do władzy nad innymi chanami...“

Miał już 50 lat, gdy chanowie ogłosili go Wielkim Kaganem i unieśli na białym wołoku czei w nadziei, że Temuczyn będzie spełniał pragnienia co znakomitszych chanów. Lecz Temuczyn poddał wszystkich swojej woli, obrał sobie nowe imię Dżingiz-chan, co znaczy zesłany przez niebo, rozgromił i zniewolił krnąbrne plemiona, a ich wodzów ugotował żywcem w kotłach.

Dżingiz-chan ogłosił, że poddane mu plemiona tworzą jedyny we wszechświecie, wybrany przez niebo naród, że będą odtań nosić imię Mongołowie, co oznacza zwyciężający. Wszystkie zaś inne narody na ziemi powinny stać się niewolnikami Mongołów. Krnąbrne plemiona Dżingiz-chana zmiecie z powierzchni jak szkodliwe chwasty i zostaną jedynie Mongołowie⁸⁾.

Historia czy maskarada?

Czytając te wiersze, jesteśmy w sytuacji owego pana, który przypadkowo znalazłszy się na przedstawieniu Hamleta, na stynne „to be or not to be“ oświadcza z niesmakiem, że już to dawno gdzieś słyszał. Znamy to bowiem aż nadto dobrze w niemieckim wydaniu: Fuehrer, Blut und Boden, Lebensraum, Herrenvolk.

Czy nie mamy tu więc do czynienia po prostu z odwróconą metodą historycznej interpretacji i aktualizacji? Jeśli można zaktualizować bohaterów dawnych, — czy nie udałoby się z tym samym powodzeniem urządzić maskarady postaci współczesnych w strojach historycznych? Związka że na ostrych zakrętach historii (podkreśla Marx) ludzie, tworzący dzieje, często wywołują sobie na pomoc duchy przeszłości, zapożyczają u nich imiona, hasła bojowe i kostiumy, aby w uświęconym przeszłością stroju rozegrać nowy akt na światowej scenie historii: Luter przebierał się za apostoła Pawła, Cromwell za proroka Starego Testamentu, francuscy rewolucjoniści za rzymskich republikanów, Napoleon I za Cezara, Napoleon III chował swe nędzne oblicze pod żelazną maską Napoleona I. Czy wobec tego Hitler w tatarskim kołpaku z buńczukiem nad głową byłby mniej prawdziwy niż Cezar, przemawiający stylem Salazara?

Cała sztuka upodabnia się poniekąd do funkcji pośrednictwa małżeństw: chodzi o umiejętność odpowiedniego doboru pary (wzoru i analogii), zwłaszcza że, według Hegla, w ogóle postacie i wydarzenia światowej miary zjawiają się w historii dwukrotnie (raz w formie wielkiej tragedii — dodaje Marx, — drugi — w formie nędznej farsy).

Powieść Jana o Dżingiz-chanie nie jest maskaradą Hitlera. Chroni ją od tego nie tylko styl autora, ale wierne oddanie epoki, źródłowe opracowanie zdarzeń oraz należyta perspektywa historyczna, której nie załamuje narzucająca się, jakby sama przez się, analogia, wynikająca raczej z faktu, że historia ubraza zdobywców, na różnej przestrzeni czasu i miejsca, w ten sam mit wybranego narodu, nieomylnego wodza oraz w metodyczne okrucieństwo, bratające Hitlera z Dżingizchanem.

Ostatni dzień „szlachetnej Buchary“

Jeszcze zanim była przeprowadzona likwidacja getta w Warszawie, zanim świat dowiedział się o prawdziwym obliczu „nowego ładu“, Jan dał przerażający opis mongolskiego tryumfu nad starą Bucharą:

„Gdy, wypełniając po brzegi meczety, mieszkańcy Buchary przywieźli Mongołom swe dary, ogłoszony został nowy rozkaz:

„Wszyscy mieszkańcy razem z kobietami i dziećmi powinni opuścić miasto i udać się w pole, nie mając na sobie nic prócz ubrania i pozostawiając cały swój majątek w domu“.

Z samego rana tłumy Bucharczyków ruszyły z miasta. Ojcowie prowadzili za ręce dzieci, żony niosły niemowlęta, nawet zgrzybiał starcy, którzy lata całe nie wyłazili ze swych nor, dreptali teraz, trzymając się jeden drugiego.

Wówczas dopiero stało się widocznym, jak wielu ludzi mieszkało w „szlachetnej Bucharze“. Bucharczyków było 2—3 razy więcej niż Mongołów.

Mongołowie najpierw przez tłumaczy dowiadywali się, kto z mieszkańców jest rzemieślnikiem i jaki posiada kunszt. Doświad-

7) W tej relacji Jałwacza prawdziwe są ogólne rysy; niektóre szczegóły jednak wymagają sprostowania:

1) jako data urodzenia Temuczyna raczej przyjął się rok Konia 1162, (a nie podawany również 1155), wobec tego Dżingiz-chan zdobył pełną władzę mając akurat tyle lat, co Hitler, gdy został kanclerzem — 43/44; przy urodzeniu miał w zaciśniętej piastce skrzep krwi, co według szama-na było oznaką, że będzie wielkim wojownikiem. Krew zresztą towarzyszyć będzie Dżingiz-chanowi nawet w ostatnim jego marszu pośmiertnym: gdy konwój z ciałem chana (w roku Świni—1227) przechodził w kierunku pasma górskiego Delugun-Baldok, gdzie został on zakopany pod samotnym drzewem, wszystko i wszyscy po drodze byli tępieni ogniem i mieczem.

2) Dżingiz-chan znaczy raczej w przenośni interpretacyjnej „zesłany przez niebo“, dosłowne znaczenie brzmi: chan wielki, wielkiej woli, niezwykły.

3) Nazwa Mongołowie nie oznacza dosłownie zwyciężających. Według niektórych badaczy pochodzi ona od imienia Mongula, wodza szczepu z którego pochodził Dżingiz-chan (jak Izraelici wzięli nazwę od patriarchy Izraela) i każdy zwyciężony szczep tatarski, włączony do armii i państwa zwycięzców mongolskich, uważał za punkt honoru przyjąć tę nazwę. (Patrz amerykańska seria „Makers of History“, t. XIII „Genghis-Khan“).

(Dokończenie na str. 9)

JERZY POMIAN

LISTY Z PODRÓŻY DO AFRYKI PONAD PUSTYNIA I PUSZCZA

Po dłuższym oczekiwaniu na miejsce w samolocie do Afryki zawiadomiono mnie, że odlece nazajutrz rano, wodnopłatem, via Chartum i Kisumu, nad jeziorem Victoria. Już o piątę rano byłem na przystani, gdzie w brzasku wschodzącego słońca rysował się kształt olbrzymiej „flying boat”, utrzymującej stałą, jeszcze przed wojną rozpoczętą, łączność komunikacyjną pomiędzy jeziorem Victoria i Afryką Wschodnią a Egiptem. Dawniej, przed rokiem 1939, linia ta zaczynała się w Londynie, biegła poprzez Francję i Włochy do Grecji, stamtąd do Egiptu i dalej, do Chartumu, Kampali, Kisumu, Nairobi i Mombasy, aby z tego wschodniego portu Keni dać połączenia lotnicze do Durbanu i na Madagaskar. Północna część tej wielkiej imperialnej linii komunikacyjnej jest chwilowo przerwana, ale poczynając od Kairu „łodzie latające” pełnią dalej swoją służbę, rzecz jasna, poświęconą obecnie przede wszystkim potrzebom wojny. I dziś grono moich współtowarzyszy podróży to niemal sami lotnicy — brytyjscy, francuscy, greccy — lecący Bóg wie skąd i Bóg wie dokąd. Tylko kilku „cywilów”, jak ja, przeważnie, jak się później dowiaduję, urzędników brytyjskiej służby kolonialnej, i dwu miłych oficerów armii lądowej, jeden z nich Szkot, zaprzyjaźniony w swoim kraju z Polakami i przez to przyjazny i dla mnie.

Wnosimy się łagodnie, aby po chwili lecieć ponad Kairem. Mijamy Zamalek, piękny park sportowy Gezira, a wreszcie piramidy — mimo odległości imponujące — może nawet bardziej imponujące niż z bliska, bo nie widać całego cyrku przekupni, przewodników i wielbłądów, tak dotkliwie naruszającego majestat tego, co niegdyś faraonowie wzniesli jako cmentarz, a co nowoczesny świat zamienił na panopticon. Później wypływamy ponad pustynię i ponad wąski pas zieleni wzdłuż Nilu. Ten widok niezmierzonych pustyń i cieniotkiej wstążki rzeki i zieleni będzie nam towarzyszył aż do końca pierwszego dnia lotu. Z tego, co się widzi podczas lotu, bardziej niż z opisów można zrozumieć istotę tego dziwnego kraju, jakim jest Egipt. Życie, ściśle związane z Nilem i ściśle od niego zależne, koncentruje się na setnej zaledwie części powierzchni kraju. Reszta, poza oazami, których niestety, z samolotu nie widać, to nieurodzajna, niegościnna pustka — bądź piaszczysta, bądź skalista — bez drzewka, bez trawy i bez widocznej z góry istoty życia. Szybko widok ten nuży, to też przeważna część podróżynych korzyści z wygodnych foteli i zasypia. Po dwu godzinach budzi nas przeciągły ryk wodnopłatu, — zbliżamy się do lądowania. Takich lądowań będziemy mieli dzisiaj jeszcze dwa. Podczas każdego wszyscy opuszczamy samolot i odjeżdżamy zgrabną motorówką na ląd, na „lunch”, herbatę lub wreszcie na nocleg w Chartumie. Lądowanie jest znacznie mniej przyjemne niż wznoszenie się. Wielka maszyną chwycie się na zakrętach, wpada niekiedy w „dziury” powietrzne, przechyla się nieprzyjemnie, — zupełnie inaczej niż miły, nowoczesny Douglas, którym leciałem do Egiptu. Widać tę różnicę na twarzy niejednego spośród pasażerów-lotników, a przypuszczam, że widać ją również po mnie. Ale to nieprzyjemne wrażenie trwa tylko chwilę, potem następuje znacznie przyjemniejsza przejażdżka łodzią motorową, posiłek i całkiem równy, bez wrażeń, wlot.

Nocleg w Chartumie, we wspianym i wygodnym Grand Hotelu, nie daje wiele czasu na zwiedzenie miasta. Poznam je później, kiedy będę wracał z Afryki, powolniejszym ale przyjemniejszym dla mnie środkiem komunikacji — Nilem i pociągami. Obecnie pozostaje mi tylko wrażenie niesłychanego upału. Ciężkie, przyniatające powietrze mimo wieczoru i mimo szybkiego ruchu samochodu, który odwozi nas z portu do hotelu, daje mi przedsmak tego, czego mam wogóle nie poznać w mojej wyprawie, „Czarnego ładu”. W hallu hotelowym, w restauracji i w pokojach, wszędzie obracają się elektryczne wiatraki, służące do poruszania powietrza, i tylko dzięki nim ta temperatura pieca po chlebie zdaje się być możliwa do wytrzymania. Mimo to, ku naszemu prawdziwemu podziwowi, na placu miejskim dwie drużyny rozgrywają „match footballowy”, a setki widzów przypatruje im się z zainteresowaniem. Nie po raz pierwszy mam możność stwierdzić, że ze wszystkich więzi, jakimi Anglicy wiążą z Imperium narody od nich uzależnione, sport jest chyba najsilniejszą i najbardziej niezawodną.

Widać to i tutaj wyraźnie. Bowiem mimo condominium z Egiptem w Sudanie panuje w całej rozciągłości „pax britannica”, z towarzyszącym mu niezmiennie względny dobrobyt i subiektywnym zadowoleniem, malującym się na wszystkich twarzach. Są biedniejsi i bogatsi, ale nędza jest rzadką i nie ma tej zastraszającej różnicy społecznej, prężnej rewolucyjnie, jaką widzi się na każdym kroku w Egipcie. Ot, każdy ma swoje miejsce, jak w dobrze zorganizowanym spo-

łeczeństwie, ale przy tym każdy korzysta z minimum praw i z minimum „self-respect”. Ten obraz względnego szczęścia i pokoju będzie mi odtąd towarzyszył w całej wyprawie przez pięć krain afrykańskich, rządzonych przez Anglię.

Drugi dzień lotu, z Chartumu do Kisumu nad Victorią, jest uciążliwszy, a zarazem bardziej malowniczy niż pierwszy. Lądujemy trzykrotnie, — raz na Nilu Alberta, pośród pierwotnej przyrody. O kilkadziesiąt metrów od samolotu wyłania się z wody olbrzymia głowa hipopotama, który ciekawymi małymi oczkami ogarnia potwornego ptaka i naszą, oddalającą się od wodnopłatu motorówkę. Krokodyli nie widać, ale podobno pełno ich jest w obfitej „trawie słońskiej”, podchodzącej aż pod same brzegi rzeki. O kilkadziesiąt mil stąd, nad wodospadami Murchisona, widzi się ich tysiące, wygrzewających się na brzegu i niezdarnie, choć szybko zsuwających się do wody na widok zbliżającej się łodzi. Mają podobno spółkę rejestrowaną z hipopotamami, polegającą na tym, że nie tykają ich małych — a wzmian hipopotam, ot tak, dla zabawy, bo sam z tego nie ma przecież żadnego pożytku, podpiywa pod kóż i, nagle wynurzając się, wywraca ją. Naszej motorówce ta ewentualność nie grozi, — jest solidna i wielka.

Widoki z samolotu stają się stopniowo coraz barwniejsze. Pustynia zamienia się w sawannę, a sawanna w puszcę. Wreszcie blisko jeziora Victorii nalatujemy na kraj gęsto osiadły, pełen wiosiek murzyńskich, otoczonych dokoła żywopłotami. Z góry domki wyglądają jak okrągłe zabaweczki. Gdzie niedługo grupy mniejszych zabawek, — stada bydła. Ludzi i zwierzęń widać dopiero w chwili, gdy dla lądowania zniżamy się poniżej pięciuset metrów. Zato drogi i rzeki widać jak na mapie i po pewnej praktyce łatwo się z nich orientować, gdzie jesteśmy. Jest tu teraz koniec pory suchej i Uganda, nad którą właśnie lecimy, oczekuje deszczu.

W pewnej chwili zastępca kapitana samolotu, który zna mój cel podróży, wskazuje mi na dole pagórek, półwysp, wrzynający się w jezioro, mówiąc, że to jest obóz polski, Kodia. Patrzę z zaciekawieniem, na pięknie zabudowane wzgórze, na ulice, równo wycięte w gwałdzie, i na blyszczące, tajemnicze jezioro dokoła. Takie jest moje pierwsze zetknięcie się z tym osiedlem, liczącym ponad trzy tysiące Polaków, które mam zwiedzić dopiero pod koniec mojej podróży.

Po całodziennym locie lądujemy w Kisumu, w Kenii, gdzie jest kres mego lotu wodnopłatem. Stąd mam jechać dalej, do Nairobi, pociągami, ale szczęśliwie zawarta znajomość pozwala mi odbyć tę długą, bo prawie 400 milową drogę, samochodem. Moim gospodarzem i kierowcą jest Kenijczyk, major wojsk brytyjskich. Odbił całą kampanię w Birmie, a teraz bawi w Afryce Wschodniej na urlopie. Tu się urodził i tu przed wojną pracował jako organizator wypraw łowieckich. Po drodze opowiada mi wiele ciekawych rzeczy o zwierzętach i przyrodzie, — tylko dla „native”, dla miejscowej ludności murzyńskiej, nie ma zainteresowania. Pędzi obojętnie koło krągłych osiedli murzyńskich, koło dziwacznych postaci Massai, mijających nas w pełnym rynsztunku łowieckim, koło smukłych kobiet, pracujących na polankach leśnych. Wzrusza ramionami, gdy przyglądam się im z zaciekawieniem: „Napatrz się Pan na nich w Nairobi, więcej ich tam niż potrzeba”. Nie lubi też Hindusów. Mówi, że demoralizują murzynów, że wyzyskują kraj, nie weni nie wkładając, że są przesądni i ciemni. Później przekonam się, że jego punkt widzenia podzielają wszyscy osadnicy brytyjscy w Kenii, co nie przeszkadza, że miejscowe społeczeństwo hinduskie, tajemnicze i zamknięte dla białego, rośnie w zamożność i powoli opanowuje cały handel Kenii. Mimo wyrzekani-

i powszechnej niesympatii musi mieć przecież to zamknięte w sobie społeczeństwo jakieś niepoślednie wartości, skoro potrafi pokonać nieprzyjazne mu prawa i nieżyczliwy stosunek i dorabiać się majątku i pozycji.

Droga z Kisumu do Nairobi jest piękna, ale mniej ciekawa, niż myślałem. Drzewa, przeważnie akacje i euforbje, szare, bez liści, bez kwiatów. Wyjątkowa susza powiększa efekt normalny „zimy” kenijskiej, to jest pory bezdeszczowej. Zachodzę w głowę, co jedzą te stada antylop i zebra, które od czasu do czasu spotykamy, bo co do żyraf, to mogę się na własne oczy przekonać, że jedzą kołczaste gałązki akacji, zabawnie odwijając wargi, jakby w celu uniknięcia ukucia. Wszystko spokojne, niemal oswojone, dopóki siedzimy w samochodzie, a samochód biegnie po szosie. Natomiast zwrot samochodu w ich stronę, albo, co gorsza, zatrzymanie się i próba wysiadania, powoduje natychmiastową ucieczkę. Żyrafy zabawnie „odpływają” — wiosłując nogami, jakby na zwolnionym filmie.

Do Nairobi dojeżdżamy w rekordowym czasie, bo w osiem godzin. Mimo to jest już po 5-ej, urzędy polskie są zamknięte i mam niemałe trudności z odszukaniem zajętego dla mnie pokoju, bo przyjechałem o dzień wcześniej, niż zapowiedziałem. Wreszcie pierwszą osobą, na jaką się natykam, jak przystało, brat dziennikarz, redaktor „Polaka w Afryce” i przedstawiciel Ministerstwa Informacji, p. Knake-Zawadzki. Lokuje mnie w hotelu, w którym zamieszkuje, i kontaktuje z przedstawicielami Delegatury Ministerstwa Opieki Społecznej i Konsulatu. Wkrótce znam już całe „polskie” Nairobi, na które składa się Konsulat Generalny, — konsul, Zawisza, niedawno mianowany, jest jeszcze w drodze do Nairobi, — Delegatura Ministra Pracy i Opieki, na czele z inżynierem Kazimierzakiem, Delegatura Ministerstwa Oświaty, którą kieruje niedawno przybyły z Londynu p. Szczepański, wspomniana Delegatura Ministra Informacji i kilka mniejszych, jednoosobowych urzędów. Jest także oddział PCK, i polska YMCA. Ta kolonia, licząca razem około 50 osób, stanowi ośrodek polskiej działalności urzędowej w Afryce Wschodniej. Ale nie wyczerpuje ona bynajmniej liczby Polaków, zamieszkujących w stolicy Kenii. Przekonuję się o tym szybko, bo na drinku wieczorowym w moim hotelu. Ku mojemu zdziwieniu co drugi oficer angielski dysponuje piwo lub whisky z takim akcentem, jakby się urodził w Warszawie. Szybko dowiaduję się, że istotnie mam do czynienia z rodakami, kontraktowymi oficerami brytyjskimi, wyciekającymi tu na nowy przydział. Na drugi dzień znowu spotykam całą gromadkę pięknych dziewcząt w mundurach WAF’ek, ale z napisami „Poland”. Są zgrabne, doskonale się prezentują i, sądząc po otaczających je „boy-friendach”, mają powodzenie u sprzymierzeńców.

W Nairobi bawi poza mną jeszcze dwu gości z Bliskiego Wschodu. Są to ks. prałat Reginek, delegat biskupa polowego, Gawliny, i towarzyszący mu ks. prałat Paulus. Zamierzają objechać obozy, niosąc pociechę duchową, a zarazem zapoznać się z potrzebami emigracji, z ramienia tego, komu Ojciec Święty osobną bullą powierzył pasterstwo wszystkich Polaków „in statu emigracione”. Jak słyszałem, ks. Reginek ma faktyczne możliwości pomocy materialnej, — ma bowiem obietnice, lub może więcej niż obietnice, episkopatu amerykańskiego, które między innymi obejmują zapewnienie przyjęcia do USA i kształcenia w tamtejszych szkołach sporej liczby młodzieży polskiej.

Parę dni, spędzonych w Nairobi, dodaje sporo do moich, młodych jeszcze, doświadczeń afrykańskich. Jestem w „sercu Afryki”, niemal na równiku, a przecie tylko z rzadka spotkać można murzyna, który swoim wy-

glądem przypomina prawdziwego „Buszmena”. Ogromna większość nosi się po europejsku, a może raczej podobnie do murzynów amerykańskich. Czuje się, że ta cywilizacja jest powierzchowna, niedawna, ale jest i postępuje stale naprzód. Jeszcze ten i ów z pośród służby hotelowej prezentuje uszy albo nozdrza misternie przecięte, dla mocowania w nich kawałków drzewa lub innych „ozdób”, ale ozdoby te już dawno schowały do skarbca rodzinnego lub, co prawdopodobniejsze, sprzedał turystom. Murzynki ubierają się w wielkie chusty kolorowe, opinające całą ich postać. Niekiedy chusty te ozdobione są flagą brytyjską, występującą okazale na wypukłościach. Ale dzieci stale noszą jeszcze starym sposobem przewieszane w węzełku na plecach.

Osobny obraz, bardzo barwny i bardzo pociągający, stanowią Hindusi. Zamieszkują oni osobną dzielnicę, notabene „out of bounds” dla wojska. Noszą się tak, jakby wczoraj wyjechali z Indii. Widać brodatych Sikhów, dziwnie ustrojonych w muślinowe spodniczki „mahrattów”, dziewczęta z diamentami albo rubinami w nozdrzach i uszach, a nade wszystko malutkie, zachwycające piękności dzieci, świadczące swoim wyglądem, jak bardzo służy im nowa ojczyzna.

Najbardziej szare jest społeczeństwo białe, złożone z wojskowych, jak w Anglii — z umiarem wesołych i z cywilnych, bardziej niż w Anglii — sztywnych i skrepowanych. Stroje cywilnych niemal takie, jak w lecie w Londynie. Często widzi się kurtki tweedowe i płaszcze damskie, broń Boże, szorty! — te są przywilejem wojska. Zresztą strój ten dość odpowiada klimatowi. Wskutek wysokości ponad 4000 stóp, upał, nawet w południe, nie jest dokuczliwy i klimat znacznie bardziej przypomina Zaleszczyki czy Kornwalie, niż równik i Afrykę.

W sumie, Nairobi jako stolica Afryki Wschodniej zawodzi, — nie jest dostatecznie „afrykańskie” ani pod względem klimatu, ani wyglądu mieszkańców. Trudnoby jednak o nim powiedzieć, że jest „europejskie”. Jest specjalne. Reprezentuje szczególny konglomerat Anglii, Indii i Afryki, przy czym Afryka jest na trzecim planie i stanowi tylko tło obrazu.

Krótki pobyt w Nairobi upływa mi interesująco przede wszystkim dzięki p. Eustachemu Sapieżu, prezesowi PCK, który pomimo przebytego w Rosji więzienia i ciężkich robót jest pełen życia i zainteresowania dla wszystkiego, co go otacza. W jego towarzystwie zwiedzam muzeum etnograficzne, ogród botaniczny oraz „wieś kenijską”, w drodze do schroniska, jakie Polski Czerwony Krzyż wybudował dla starców. Budynki schroniska na pięknym wzgórzu, w odległości 6 mil od Nairobi, pośród obszernej plantacji kawowych, należących do Ojców Białych. U stóp wzgórza rozciąga się obszerna wieś murzyńska, a o kilka mil rozpoczyna się dziewiczy busz, pełen bawołów, słoni i nosorogów.

Honory domu w schronisku czyni nam jego budowniczy, brat Józefat Nowicki, z zakonu Ojców Białych. Brat Józefat, który spędził w Kenii i Tanganii 45 lat, jest poznaniakiem, i pochodzi ze Żnina. Jedną pocziwą polszczyznę opowiada mi swoje dzieje i dzieje kraju, który w jego oczach wznosił się z dzikości do tego cywilizowanego poziomu, na jakim jest obecnie. „Pamiętam trzydzieści lat będzie, jak siedziałem wtedy, ścieżką, przez las, z murzynem, który niósł mi fuzyjom. Aż tu, akurat w tym miejscu, gdzie teraz kaplica stoi, wyłaż na mnie nosoróg... Murzyn, nie czekając, uciekł z fuzyją w las, a ja musiałem pół godziny „tańczyć” przed nosorogiem, uskakując mu, jak atakował... Żeby to był bawół, tobym już tej kaplicy później nie zbudował. Ale tym, to się pierwszy zmęczył i poszedł...” Godzinami słucha się opowieści brata Józefata o rozmaitych plemionach murzyńskich, o instytucji małżeństwa śród czarnych, o wpływie, jaki wywiera na kraj chrześcijaństwo. Brat jest postacią jaką się spotyka tylko wyjątkowo i jakiej się nigdy nie zapomina. Jest przy tym, po czterdziestu kilku latach pobytu w Afryce, krwią z krwi i kością z kości „starego kraju”, którego wspomnienie przywołuje na oczy rzewniej i pełniej, niż te setki i tysiące rodaków, emigrantów, z jakimi codziennie stykałem się w Anglii czy Palestynie.

Nie ma trudności, których
nie można przezwyciężyć!
**Korespondencyjne kursy języka
angielskiego w jęz. polskim dla Was**

Specjalnie zorganizowane na podstawie długoletnich doświadczeń

DLA KAŻDEGO UMYŚLU DOSTĘPNE
pod kierownictwem wybitnych fachowców
ZGŁOSZENIA i INFORMACJE osobiste lub pisemne

DO PALESTINE TUTORIAL Co. Ltd.
JERUSALEM, SANSUR BLDG. G. P. P.O.B. 5055
PALESTINE. Tel. 2500 Biuro zgłoszeń II p., pok. 241

**WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH
NA SEZON LETNI**

poleca w wielkim wyborze
mundury drelichowe i wełniane, szorty,
koszule gotowe i na zamówienie, biele-
liznę trykotową, oraz wszelkie artykuły
i galanterię wojskową a także ręcznie
haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH

(Właśc. A. Gurman)

TEL - AVIV, ul. ALLENBY 83

DROGA WIODŁA PRZEZ IRAK

Poezja żołnierska z Rosji

L. Paff: „Jutro odwet“. Tel-Aviv 1943. Str. 64.

A. Międzyrzeczki: „Namiot z Kanady“. Tel-Aviv. 1944. Wyd. „Przez lądy i morza“ (Pelim). Str. 47.

S. Legeżyński: „Sydria“. Tel-Aviv 1944. Wyd. „Przez lądy i morza“. (Pelim) Str. 32.

Zanim w olbrzymiej drodze, od północnej tundry aż ku kolebce łacińskiej cywilizacji, żołnierz polski przemierzył i opuścił Palestynę, pozostawił w Ziemi Świętej jakby na pożegnanie kilka pamiętników ze swej wędrówki.

W naszej bibliografii druki palestyńskie będą kiedyś wymowną poezją. Złożyło się bowiem tak, że Palestyna była miejscem odpoczynku i okresem paury dla wszystkich polskich oddziałów, walczących na Wschodzie. Tu ćwiczyła się Brygada Karpacka; w nadmorskim pasie ogrodów i pardessów ta sama Brygada nabierała świeżych sił po Tobruku i Gazali, ażeby później oddać swoje namioty wojsku, idącemu z Iraku na front włoski. Skądkolwiek więc żołnierz przyniósł w tornistrze wiersze, czy z Azji, czy z Afryki, wypakowywał je w Palestynie i miał ambicję, by jeszcze przed odjazdem oddać w ręce kolegów drobną, małą książeczkę, najczęściej pierwszą w życiu. W ten sposób ukazał się opracowany przez Bielotowicza zbiór „Poezji Karpackiej“, „Zwrotnik Wilkołaka“ Sowieckiego, pisany w Tobruku, i tom wierszy Laszkowskiego. Z drugiej strony twórczości Karpaczaków — odpowiadają trzy debiuty poezji żołnierskiej, idące z najmożliwszych stepów i najgorętszych pustyni: „Namiot z Kanady“ Międzyrzeczkiego, „Sydria“ Legeżyńskiego i „Jutro odwet“ Lucjana Paffa.

Poezja Karpacka nie jest wybuchem uczucia. Źródłem wierszy Andrzejewskiego, Bielotowicza, Kobrzyńskiego i Sowieckiego nie jest prosty poryw patriotyczny, ani też długoletnia nostalgia, wiążą się one najczęściej z próbą analizy i oceny zjawiska wojny, którą ich autorzy przyjęli doświadczeni i świadomie, z obozów jeńców i internowanych uciekających na front afrykański. Wolno powiedzieć w skrócie, że poezja Brygady ma charakter refleksyjny i racjonalistyczny, tak jak znowuż wiersze, napływające z wojsk polskich w Rosji, będą uderzały swą spontanicznością, uczuciowością i romantycznością. O ile poeci Karpackiej prawie że nie nawiązują do polskich tradycji romantycznych, do twórczości Wielkiej Emigracji, prawie że nie piszą o Wrześniu, patrząc raczej w przyszłość — wiersze, zabrane spod Swierdłowska, dojrzałe pod Teheranem i Bagdadem, pełne są wizji religijnych i patriotycznych, obciążone przemocą i same bądź usiłując wyzwać tęsknotę za opuszczoną ojczyzną, bądź krzepić serca obywateli powrotu i ostatecznego zwycięstwa.

Obie te fale poetyckie: karpacka i rosyjska, przypominają jakby dwie rzeki: wąską a wysoką i o nurcie głębokim; płytą, ale rozlewną i szeroką. Poezja Karpacka jest zjawiskiem kulturalnym i literackim, jest dziełem pewnej wykształconej elity, poezja AP na Wschodzie, ewakuowanej z Rosji, jest głównie zjawiskiem społecznym, fenomenem nagłej powszechnej potrzeby mowy rymowanej, mowy innej niż szare słowa codziennego języka. W Brygadzie, mającej zresztą grupkę pisarzy z Polski, pisało wiersze kilku, ale czytali je wszyscy; w oddziałach, formowanych w stepach uzbeckich, pisał je niemal każdy, toteż ze zdumieniem nad ową samorodnością pieśni nie powinno się łączyć jej fałszywego przeceniania. Poezja żołnierska jest dokumentem żołnierskich uczuć, ale jeśli jest przez to literaturą, to chyba tylko literaturą ludową. Nieskazitelną patriotyczność tej twórczości zyskuje dla niej czasem zbyt wysokie, ale przemijające miejsce w hierarchii wartości literackich; byłoby niebezpieczne nagłe zapomnienie o dorobku lat 1918-1939 i zniżanie się do wiersza, dającego zwykle nie wiele więcej ponad mniej lub bardziej udolną kopię poezji romantycznej. W AP na Wschodzie piszą na ogół młodzi, przeważnie bardzo młodzi. Wynieśli oni z kraju wyłącznie szkolną znajomość literatury, kończącą się w poezji na Asnyku i Ujejskim, i próbę jej kontynuacji zaczynają od wzoru epigonów romantyzmu.

Różnica między bliską męską dojrzałością poezji Karpackiej a młodzieńczym i częstokroć naiwnym wierszem z Rosji wynika z znacznym stopniu z odmienności dróg pochodów. Kto znalazł się w Karpackiej, ten porzucił Kraj z własnej decyzji, odbył fantazyjne podróże świadomie i celowo, zachowując na ogół szansę kierowania swoim losem. Ten typ życia musiał dać ton walki, poezję bitwy i zemsty, wprawioną w konkretne, bliższe rezultaty — oprócz Tobruku, zwycięstwo pod Gazalą.

Żołnierz z Rosji, oderwany od swej ziemi przemocą, pogrążony w beznadziejność i bezradność, której sam nie mógł niczym zmienić, uciekał się do irracjonalnych środków działania: do wiary, modlitwy, rozważania proroców, i chociaż przeświadczenie o pomyślnym końcu niedoli było często tylko zwykłym odruchem instynktu samozachowawczego, to przecież powrót wolności przyjęto jako cud. Wynik umowy polsko-rosyjskiej mieścił się w świadomości dla tych ludzi właśnie raczej w kategoriach cudu, w wysłuchaniu ich modlitw przez Boga, niż w ramach rezultatów politycznych.

To też swoboda wybuchła ogólnym hymnem dziękczynnym, nagłe rozwiązanie tragicznej sytuacji umacniało wiarę w szczególną wagę Polski i Polaków dla spraw ogólnoludzkich, mesjanizm powracał w pełni. Nie było dla niego gotowych form literackich. Jedyne w swoim rodzaju społeczeństwo oswojonych skazańców, od lat pozbawione książek, w chwili gdy poezja narodowa była mu najbardziej potrzebna, musiało ją tworzyć samo dla siebie. Stąd tyle ściennych pism, wieczorów artystycznych, tyle utworów, ocenianych bardziej według ich napięcia uczuciowości i optymizmu, niż według skali literackiej.

Tak bardzo daleką Polskę poculi oni jakby w sobie — armia stała się dla nich nieczym okrutnym, płynącym swobodnie pod polską banderą przez obcy świat. Temu stanowi wewnętrzny podporządkowywany wrażeń zewnętrzne, patrząc na wszystko wokół, jak na przebraną Polskę, mierząc wszystko podobieństwem do Polski. Czy to pustynia uzbecka, czy Irak, doznawały przemianowania na Polskę. I to przede wszystkim znajdowało wyraz w pisanych tam wierszach.

Martyrologia i niezaspokojona tęsknota ustąpiły na ogół nastrojowi walki, gdy wojsko otrzymało broń i żołnierz rozpoczął normalne życie obozowe. Mniej więcej w tym czasie trafił do obozowych sklepów tom wierszy Broniewskiego. Zapewnienie poety, że otrzymał Polskę, gdy tylko „będziemy jej warci“, że czeka nas zwycięstwo i szczęście, byłoby „but był mocny, był karabin był w garści“ nie mogło lepiej odpowiedzieć potrzebie chwili.

Równocześnie na łamach „Kuriera Polskiego“ w Bagdadzie odbywała się stała eliminacja prób pisarskich. Wyłaniały się i utrwały żołnierskie nazwiska: Bazarowski, Olechowski, Żywina, Miszuro, Mirzowski i inni. Jeden z nich, Paff, zyskał pewną popularność łatwą melodią wiersza, zbliżeniem do wojskowej piosenki, prostotą tematu. Iracki jego tomik „Jutro odwet“ jest upamiętnieniem ówczesnego przeciwnego sposobu odczuwania, kiedy to było drzewo, było krzak wywoływały przypomnienie Kraju, kiedy namioty wyglądały z dala jak strzechy chat, bociany zdawały się przylatywać wprost z Polski, a szpaki gadać mazurską gwara.

Zbliżająca się znów do naszego wojska wojna powściągnęła ten sentymentalizm. Emocja manewrów i ćwiczeń zastąpiła w nich dotychczasowe wzruszenia, a z rozprzestrzenionej wierszomani pozostał już tylko ci, dla których wiersz był świadomą pracą i twórczością.

Wśród kilku takich początkujących autorów interesujący jest przede wszystkim Artur Międzyrzeczki. „Namiot z Kanady“, tomik Międzyrzeczkiego, pisany przeważnie w Iraku, choć wydany w Palestynie, jest pierwszym w okresie pobytu naszego wojska na Środkowym Wschodzie dostrzeżeniem egzotyzmu terenu. Iracka wiosna, kurdyjskie wsie, palestyńskie pardessy, znajdują wreszcie swój odrębny wyraz, przemawiający własną osobliwością i urokiem, oderwanym od czarnoksiężstwa polskich wspomnień. Już same tytuły Międzyrzeczkiego, jak „Pod wsią kurdyjską“, „Noce irackie“, „Mój Kirkuk“, „Nafta“, „Woda“, wskazują na wyswobodzenie się z monotonicznego szablonu popularnych wówczas utworów i szczęśliwą próbę oddania innych nastrojów:

„Usnął u pał, Arak pił dniem w kirkuckim
szynku,
Płasał i kurz z meczetów zlizywał wiekowy.
A teraz śpi, bruchaty, w samym środku
rynku.

Opierając o kamień kopulastą głowę.“

Nudzie i znużeniu, które ten krajobraz wywoływał u większości, Międzyrzeczki umie przeciwstawić „swoją Kirkuk“, gdzie dostrzeże ślady patetycznej historii tych miejsc. Skamieniały dramat wojen Dariusza i Aleksandra, odcieńność piasków, zasypujących Babilon i Niniwę, wzgórz, które nosiły Arkę Przymierza — to wszystko, zwykle pomijane przez typową żołnierską poezję, u Międzyrzeczkiego znajdzie zrozumienie i wrażliwą kliszę. W drodze samochodowego konwoju potrafi poeta dostrzec, że —

„Śmierć kładła suche palce na ostre oblicze,
Wyły drwico szakale na piasku gorącym.
Stanęły na Zachodzie legiony zdobywcze,
Zatrzymały falangi swój przemarsz z
północy?“

Dla tych notatek, w których pustynia przemawia swym sensem geograficznym i historycznym, autor „Namiotu z Kanady“ nie znalazł jeszcze pełnej, samodzielnej formy. Większość wierszy jest przykładem, jak młodych poetów-żołnierzy zasugerowania mocny rytm utworów Broniewskiego. „Via Dolorosa“ i „Damaszek“ Broniewskiego powtarzają wręcz w obrazowaniu i określeniach, podobnie jak „Refleksja z Ziemi Świętej“ wykorzystuje formę znanego wiersza Tuwima „Chrystus miasta“. Gdzie indziej znów dzwonią echa Balińskiego „O tamtej“, lub popularnych wierszy szkockich Jana Rostrowskiego. Obfitość tych wpyłów nie jest jednak złym świadectwem; w tak świeżym i wczesnym debiucie wskazuje ona na pożądaną kontakt z poezją powojenną, prawie nieznaną większości początkujących autorów.

Pod tym względem, właśnie przez ścisły związek z przedwojenną szkołą literacką, wyodrębniła się próba autentyzmu, zrobiona przez S. Legeżyńskiego w „Sydrii“. Trudno ją za-

liczyć do właściwej poezji żołnierskiej, gdy autor, chociaż debiutuje książką, ma za sobą liczne wiersze, pisane w Polsce, i gdy ich część zamieszcza w 32-stronicowym tomiku, opatrzonym datami 1935-1944. Zarówno przed- jak i powojenne jego wiersze są tego samego kroju notatkami obserwacyjnymi, szkicami, dążącymi do uchwycenia jednego momentu, jednego nastroju, jednego obrazu i właściwie ta między nimi różnica, że dawniej tło krajobrazowe dawał Lwów z okolicami, dziś — Palestyna i Egipt.

Autentyzm zjawia się w poezji równoległe z powojenną modą na literaturę faktów, z rozrostem w prozie reportażu zwykłego i powieściowego, z sukcesami w teatrze t. zw. faktomontażów. Część wymaga autentyzmu zawiera się w programie realizmu i w postulatach rzetelnej roboty pisarskiej; byłoby one świeże w czasach Balzaka, dziś w prozie nie są nowością, w poezji zaś doprowadzają na ogół do przerostu opisowości. Rezultaty autentyzmu polegają przeważnie na kondensacji słowa, matematycznej niemal konstrukcji wiersza, szukaniu dróg skupienia treści przez odrzucanie czasowników i tworzenie nowych połączeń pojęciowych. Poeta-autentysta pragnie możliwie wiernie i sugestywnie zanotować (nie więcej!) swe doznania, wywołane jakimkolwiek bądź bodźcem. Treść traci znaczenie, odsuwa się na drugi plan walory myślowe, pozostaje zagadnienie stworzenia jakiejś poetyckiej syntetycznej fotografii, dającej równocześnie kształt, barwę, nastrój i całą autentyczną dowolność skojarzeń, splatających się z tematem wiersza.

Jest to wyraźne ograniczenie procesu twórczego i sprowadzenie go do zadań wyłącznie stylistycznych. Krańcowy autentyzm, akcentując pewne strony techniki, w istocie zubaża poezję, i to też widać wyraźnie w wierszach Legeżyńskiego, nie wykraczających poza krótkie notatki z przemijających obrazów i nastrojów.

Zainteresowanie celnością słowa odsunęło autentyzm od muzyczności poezji, doprowadzając często do porzucenia rymu i przyjęcia rytmiki prozaicznej. Legeżyński często stara się zachować tradycyjną wersyfikację, ale stosując ją, równocześnie ją lekceważy — ta niekonsekwencja prowadzi do rymów niewybrednych, do nieporządku składniowego i licznych niejasności. Toteż najlepiej brzmi kilka wierszy przedwojennych, zwartych, oryginalnych, wiernych ścisłym założeniom autentyzmu — wiersze powojenne grzeszą chwiejnością formy, mieszaniami wyszukanych określeń z banałami, a więc tym, co cechowało degenerujący się barok. Wreszcie nawet nasycone malarskim kolorytem opisy, nie zdążają sprostać wielkości współczesnej chwili, wymagającej innej poezji.

Zarówno autentyzm, jak i imaginizm, reprezentowany u nas przez Czechowicza, zamilkły dzisiaj. Poezja współczesna, poezja wojenna z Wierzyńskim na czele, idzie drogą ujmowania w ramę klasyczną tego wzbogacenia języka, rymu i rytmu, jakie przyniosło w Polsce okres „Skamandra“. Równocześnie jednak podejmuje się ona tych zadań, których „Skamander“ nie spełnił, a więc ściślejszego związku z problematyką społeczną i polityczną narodu, z ogólnym dążeniem do budowania nowego świata. „Skamander“ przyodzabiał życie — nowa poezja będzie o nie walcząc.

Narazie walczy jeszcze raczej karabinem, niż piórem. Świeże pokolenie pisarskie znajduje się przeważnie na froncie, ale i w tych niewielkich tomikach, jakie zjawiają się w okresach postoju i odpoczynku, można dostrzec wyraźne różnice w stosunku do literatury z czasów wojny światowej i z okresu 1918-1939.

Wraz z nową wojną nie powróciła gloryfikacja walki i życia żołnierskiego. Prawda Remarque'a nie została zatarta, zatuszowana i ukryta, tylko przezwyciężona. Młoda generacja, która dziś walczy, wyrastała w atmosferze hasła pacyfistycznych, wśród niewiary w wojnę, albo i wprost lęku przed nią. Jeżeli dziś wojnę podjęła, być to nie tylko konieczny gest narodowej obrony, albo także i wyraz wiary, że wojna obecna nie wiąże się wyłącznie z poszczególnymi celami narodowymi, będąc czymś więcej — próbą walki o lepszego człowieka o doskonalszą organizację świata. Ten ogólnoludzki sens wojny zaznacza się wyraźnie w wierszach żołnierza Brygady Karpackiej, T. Sowieckiego, i trafia na podobne ujęcia w wierszach żołnierza, idącego dopiero dziś do walki, w wierszach Międzyrzeczkiego. Międzyrzeczki, będąc równie daleki jak Sowiecki, od konwencjonalnych obrazów wojennych, tak samo gotów jest przyjąć wszelką okropność wojny w imię pamięci, że „broń ma nie tylko zabijać, lecz drogę torować ciszy“. Ten sam realizm literatury wojennej, który po r. 1918 tworzył nastroje defetystyczne, dziś umie z grozy wojennej, ujawnianej szczerze, stworzyć glorię dla tych, którzy walczą, rozgrzeszyć tych, którzy zabijają, byle

„... umieć patrzeć i dostrzec,
widzieć błysk pługa w bagniecie
i lemieś zaklęty w ostrze.“

(Międzyrzeczki)

W takim sformułowaniu jest odrębność i wartość obecnej poezji żołnierskiej.

Zdzisław Broncel

HITLER I DŻINGIZ-CHAN

(Dokończenie ze str. 5)

czonych rzemieślników ustawiano osobno. Młodzi i silni mężczyźni zostali wyłączeni i otoczeni przez konnych Mongołów. Wreszcie Mongołowie wybrali najładniejsze kobiety, dziewczęta i dzieci. Wówczas dopiero wszyscy zrozumieli, że rozłączają ich ze swoimi najbliższymi. Padły okrzyki rozpacz, położy się ży.

Obojętnie, jak rzeźnicy na bazarze, wybierający ryczące krowy i kozy i poganiając i bijąc, pędzą do rzeźni, tak nowi panowie Buchary bili opierających się nahażkami, narzucali na szyje arkany i popędzając konie, wyrwali ich z tłumu. Przerazenie, które wywoływali Mongołowie, było tak silne, że nikt z Bucharczaków nie próbował nawet oporu.

Niektórzy mężowie i ojcowie widząc swe żony lub córki, wleczone w kurzu przez Mongołów, nieprzytomni z rozpacz, rzucali się za nimi, próbując ratować. Lecz Mongołowie trawili ich kołami, albo odrzucali na ziemię uderzeniem po głowie łaski z żelazną gałką.

Był to straszny dzień. Rozlegały się tylko krzyki i jęki konających, płacz kobiet i dzieci, na zawsze rozstających się ze swoimi mężami i braćmi. Mężczyźni byli bezsilni i na pamięć przychodziły słowa poety: „Kto nie zechce mocno ująć czarnej rękojeści miecza, przeciw temu obróci się ostrze jego“.

Mongołowie powrócili do opuszczonych przez mieszkańców pustych ulic. Gdy porozchodzili się po domach i żądowali na konie nagrabione rzeczy, miasto naraz zapłonęło ze wszystkich stron. Słupy ognia i czarnego dymu, przesłaniając słońce, uniosły się nad starą Bucharą. Lekkie budowle z gliny i drzewa paliły się dobrze i całe miasto tworzyło jedno wielkie ognisko. Przed zniszczeniem ocalały jedynie stare meczety i ściany niektórych pałaców, zbudowane z cegły“.

Przekleństwa zignorowanej historii

Przeraża nas jednak nie tylko okrucieństwo „zwycięzających“, zdumiewa również łatwość Mongołom rozbijać narody podstępem, zanim je zniszczą orężem. Pięta kolumna nie jest wcale wynalazkiem gen. Franco czy Hitlera. Już Dżingiz-chan stosuje ją w całej rozciągłości — zarówno jako agencję informacji i szpiegostwa, jak i też w celu rozprzężenia od wewnątrz napadniętego państwa, rozpowszechniania już to fałszywego optymizmu, niedoceniania siły wroga, już to strasznych wieści, krępujących panikę strachu wszelką rozsądną obronę.

„Kiedy człowiek pada na duchu — mówi wschodnie przysłowie — koń jego nie może skakać“ — strach, wyprzedzający Mongołów, paraliżował opór; rozgardiasz i brak jedności, podtrzymywane przez sprytnych agentów mongolskich, podrywały go z zarodku; zdrada i łatwość łamały go ostatecznie. Rasa zdobywców utwierdza się w poczuciu swej brutalnej wyższości — jeden napastnik zabija dziesiątki; każdy Mongoł miał swych niewolników i żył jak pan.

Poróżnione narody, dumni książęta, nie chcący jednoczyć się pod wspólnym kierownictwem, ginęli po kolei — znajdowali śmierć w nierównym boju, lub niewiele w zdradliwym sojuszu ze zdobywcą, którego ustępstwa ze strony słabych przekonywały tylko o własnej sile.

„Kiedy potrzebny jest hart, — ustępliwość jest niewłaściwa. Ustępliwość nie uczynisz z wroga przyjaciela, jeno zwiększysz jego pretensje... Póki nie posiejesz ziarna — nie zbierzesz żniwa; póki nie zaryzykujesz życia — nie zwyciężysz wroga“.

Kiedy się czyta te mądre słowa (Saadięgo), naocznego świadka strasznych pochodów, dziwić się raczej należy nie owym społecznym niemym narodom, prymitywnym książętom, zakutym w żelazo i dumę, dającym się rżnąć w pojedynkę, lub łąpać na łaśso zdradliwych obietnic barbarzyńców; bo przecież również na naszych oczach narody cywilizowane, całe partie i leaderzy swoją łatwość, małoduszność lub zdradę sprzymierzały z brunatną hordą, rozwijali teorie ustępliwości, byle tylko nie zaryzykować życia.

Choć napastnik stroił się w szaty i metody mongolskie, oddawał hołd Dżingiz-CHANOWI i jego następcom, nie chciał zająć do historii, jako do „mistrzynie życia“. Słowa Jana w zakończeniu książki: „Mongołowie zwyciężali raczej w wyniku niezdolności, ustępliwości i nieśmiałości przeciwników, niż przez siłę swych krzywych szablów“ zostały zbyt późno uznane również w kraju, gdzie były pisane.

Przekleństwa zignorowanej historii dosięga jednak również zdobywcę, który wbrew doświadczeniu przeszłości stawia sobie zadania nieosiągalne. Każde zwycięstwo rodzi dalsze bitwy, rozpraszając siły i skupiając nienawiść. Wchłonięta przestępstwa staje się wchłaniającą przepaścią.

Dżingiz-CHAN był szczęśliwszy — umarł w pochodzie, w okresie, gdy dzieło jego wydawało się trwałym. Hitler z zawrotnego szczytu tryumfów od dwóch lat ogląda same kłęski. Żaden „wał atlantycki“, żadna „linia Zygfryda“ nie uchronią go przed zgubą. Zresztą sam legendarny Zygfryd, skąpany we krwi potężnego smoka, miał miejsce, w którym można go było śmiertelnie ugodzić. „Forteca europejska“, skąpana we krwi podbitych narodów, posiada ich o wiele więcej. Nowoczesne Nibelungi — ponury dramat krwi i zdrady — skończy się niechlubną zagładą germańskich bohaterów. A w dniu rozprawy należy również pamiętać o (zygfrydowskiej) czapce - niewidce „dobrych Niemców“.

Gustaw Rey

FAKTY I KOMENTARZE

Dwie imaginacyjne mapy świata

Poniżej zamieszczamy za londyńskim „The Economist” z dn. 11 marca dwie imaginacyjne mapy świata.

Pierwsza z tych map pokazuje, jakby wyglądał świat, gdyby terytorium każdego z państw było wprost proporcjonalne do ilości jego mieszkańców.

Druga mapa pokazuje, jakby wyglądał świat, gdyby wielkość terytorium każdego z

państw było wprost proporcjonalne do wysokości jego narodowego dochodu.

Mapy te są dla nas ciekawe jeszcze i z tego względu, że na obu z nich, jak widzimy, Polska „wytrzymuje konkurencję”.

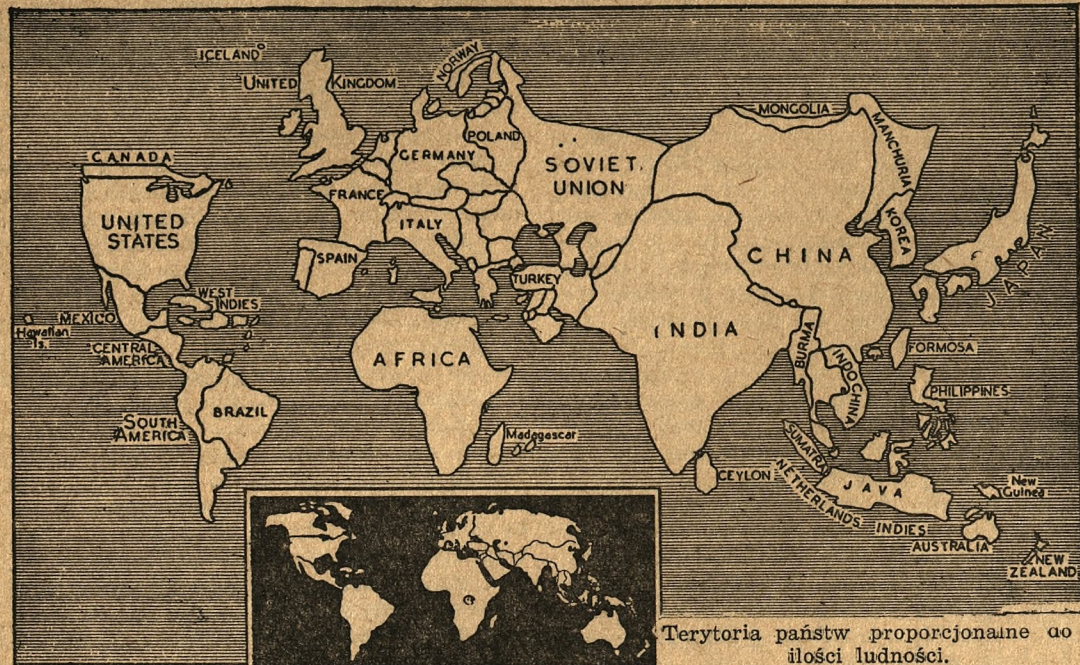
Obie te mapy pomocne były ich autorowi

państwo może walczyć w oparciu o swoje własne zasoby. Biorąc takie założenia za podstawę, autor widzi we współczesnym świecie pięć mocarstw: Stany Zjednoczone, ZSRR, Wielka Brytania (ale tylko — podkreśla on — w oparciu o Imperium),

istnieje jeszcze pewien szerszy problem, a mianowicie problem powojennej polityki naftowej. Dotychczas wielkie kompanie, „imperia” naftowe, nie uzgodniały swojej polityki na tym polu. A potrzeba takiej polityki daje się coraz bardziej odczuwać. Oto co pisze „The Economist”:

„Wobec wielkiego znaczenia ropy, jako kluczowego surowca w czasach wojny i pokoju, ma swoje mocne uzasadnienie domaganie się międzynarodowej polityki w zakresie ropy, która przyjąłaby dwie podstawowe zasady: pierwszą jest zasada jednakowego do-

stępu do surowców, ujęta w artykule 4. Karty Atlantycznej; co więcej, jednakowy dostęp powinien znaczyć dostęp po umiarkowanych cenach dla krajów, które nie mają ropy. Druga zasada to ta, iż przy eksploatacji pól naftowych powinny być w sposób należyty uwzględnione interesy tych krajów, w których się one znajdują. Można mieć nadzieję, iż międzynarodowa konferencja w sprawie ropy, która powinna wynikać jako rezultat dyskusji pomiędzy rządami brytyjskim i amerykańskim, będzie się kierowała tymi dwiema zasadami”.

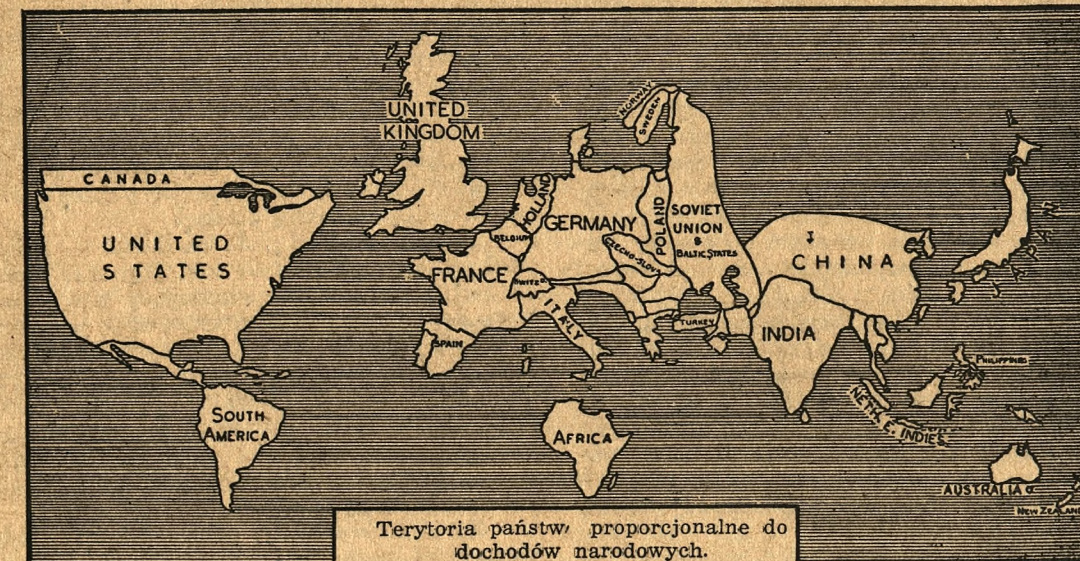


Terytoria państw proporcjonalne do ilości ludności.

państw była wprost proporcjonalna do wysokości jego narodowego dochodu.

Mapy te są dla nas ciekawe jeszcze i z tego względu, że na obu z nich, jak widzimy, Polska „wytrzymuje konkurencję”.

Obie te mapy pomocne były ich autorowi



Terytoria państw proporcjonalne do dochodów narodowych.

w poszukiwaniu kryteriów oceny: które z państw nazwać można mocarstwami. W toku swych rozważań dochodzi on zresztą do wniosku, że ani dochód narodowy, ani ilość ludności nie wystarczają jeszcze jako kryteria

Niemcy i Japonia. Do roku 1940 mocarstwem była Francja, być może, że po wojnie wróci ona do stanu mocarstwa. Nie są mocarstwem i przez długie lata nie będą nim jeszcze Chiny.

Czy światu grozi brak nafty?

O sprawie budowy rurociągu amerykańskiego na Bliskim Wschodzie i wywołanej tym projektem dyskusji pisaliśmy już na tym miejscu w numerze 7(25) „W Drodze”.

Czy światu grozi brak nafty w najbliższej przyszłości?

W USA głównym alarmistą jest — jak wiadomo — podsekretarz stanu dla spraw wewnętrznych, Harold Ickes. Argumenty jego poznać możemy z artykułu, jaki ogłosił w grudniowym zeszycie „American Magazine”. Jeśli weźmiemy za podstawę dla naszych obliczeń — pisze on tam — wydobycie nafty z r. 1938, to musimy dojść do wniosku, że światu grozi wyczerpanie zasobów naftowych za jakie 30 lat, Stanom Zjednoczonym — już za lat 15. Jeśli za podstawę weźmiemy amerykańskie wydobycie nafty w r. 1943, to obliczenia nasze wypadną jeszcze bardziej ponuro. Okaże się wtedy, że Stanom Zjednoczonym już w r. 1956 grozi wyczerpanie zasobów nafty. USA muszą więc starać się o zabezpieczenie sobie już teraz prawa pierwszeństwa w wydobyciu nafty na terenach poza amerykańskimi. Inaczej mogą się znaleźć wobec tego niebezpieczeństwa, że nowa, trzecia wojna światowa zastanie ich zupełnie bez zasobów płynnego paliwa. Stany — tłumaczy Ickes — mają prawo do zabezpieczenia sobie zasobów nafty w ilości proporcjonalnej do ich spożycia. Przecież przed wojną, w r. 1938, Stany Zjednoczone miały około 29.000.000 samochodów i traktorów, podczas gdy reszta świata miała ich wszystkich — 14.000.000. Koncesje amerykańskie i nowy rurociąg mają być środkiem zapobiegawczym przeciwko temu niebezpieczeństwu.

Wywody Ickesa wywołały sprzeciw wielu ekspertów. Rezerwy, o których Ickes mówi — twierdzi dr. Egloff, kierownik badań Uniwersal Oil Products Company — to tylko rezerwy „sprawdzone”. A przecież istnieją jeszcze na pewno wielkie rezerwy ropy na terenach, na których nie robiono wierceń. Z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych na żadnym z terenów, obfitujących w ropę, wydobycie nie

było przeprowadzane w sposób intensywny. Jest tam na pewno wiele pokładów jeszcze nie odkrytych.

W podobny sposób argumentuje Wallace Pratt, wicedyrektor Standard Oil Company z New Jersey. Ickes oblicza światowe zapasy ropy na 59 miliardów baryłek. Według obliczeń Pratta rezerw „sprawdzonych” jest ze dwa razy więcej, bo ponad 100 miliardów baryłek. Prawdziwa zaś ich ilość jest na pewno kilkakrotnie wyższa. Istniejące zapasy ropy wystarczą na pewno na jedno pokolenie. A potem? Potem powinniśmy mieć nadzieję, iż nowe próbné wiercenia odkryją nam nowe pokłady. A zresztą nie wolno nam zgubić w postępy techniki. Jak widzimy, wicedyrektor Pratt jest wyznawcą naftowego carpe diem.

Podkreśla on wreszcie, że z zasobów światowych Stany Zjednoczone mają już pod swoją kontrolą około 20 miliardów baryłek; 13,3 miliarda na Bliskim Wschodzie i 6,7 miliarda w Ameryce Południowej (drugie 20 miliardów znajdują się pod kontrolą towarzystw angielskich i holenderskich; zapasy sowieckie oblicza się na 8,5 miliarda; rumuńskie — na niecałe pół miliarda).

Stany Zjednoczone domagają się zabezpieczenia sobie rezerw ropy w ilości proporcjonalnej do ich spożycia. Ale przecież spożycie to nie jest wielkością stałą. Inne państwa mogłyby np. wysunąć niemniej uzasadnione żądania partycypowania w ilościach proporcjonalnych np. do ich — ludności.

Jakby wynikało z ostatnich depesz, Anglicy — przy pomocy takich to jak wyżej przytoczone czy też innych argumentów — zdawali przekonani, że Stany Zjednoczone nie grozi niebezpieczeństwo, iż w obliczu nowej, trzeciej wojny światowej znajdą się bez zasobów nafty, i USA zarzuciły projekt budowania rurociągu na Bliskim Wschodzie. Ale, jak słusznie podkreśla „The Economist” — z którego czerpiemy dane o całej tej dyskusji — niezależnie od takich czy innych projektów amerykańskich

W niemieckim czasopiśmie propagandowym dla zagranicy „Signal” z dn. 1 marca b. r. ukazał się wyjątkowo interesujący artykuł starego dziennikarza, Waltera Kiaulehna, pod wymownym tytułem „Berlin potem” — opis wrażeń po jednym z ciężkich nalotów na stolicę. W naloce tym autor stracił dom i dlatego wrażenia jego są, rzecz można, bardzo bezpośrednie.

Przestało istnieć słynne berlińskie Zoo — jeden z najstarszych ogrodów zoologicznych świata, „duma naszych przodków”. Największe kino stało z oderwanym dachem, z Kościoła Pamięci buchały płomienie. Autor próbował zatelefonować z hallu hotelu Eden; — elegancki gmach wyglądał tak, jakby przeszedł trzęsienie ziemi, a druty zwisały, podarte na strzępy. Nad Kanałem Landwehry (Landwehrkanal) unosiła się ściana ognia, do domu musiał przeto iść drogą okólną.

„Był to poranek po nocy pożarów. Na- zajutrz masa ludzi stała tak jak ja przed ruinami swoich domów, ze szczerzającymi, poparzonymi rękoma i osłepionymi oczyma. 35 szpitali zburzonych Anglii, prawie wszystkie kościoły o znaczeniu historycznym czy artystycznym. Dużo pamiętek kultury Berlina zapadło się. Dużo z tego, co nadawało szlachetności obliczu naszego miasta, nie istnieje więcej albo jest w ruinach. Również ulica Unter den Linden — relikwia architektury, Mekka urbanistów, — jest teraz zbiorowiskiem szczerzających dymem ruin. Kościół św. Jadwigi, świątynia berlińskich katolików, już dawno jest kupą rumowisk, opera Fryderycjańska została już dwukrotnie zombardowana. Paryski Plac, który jest obok Placu Voges w Paryżu jednym z najsłabszych dzieł urbanistyki, leży w gruzach. Kościół Trójcy, w którym wygłaszał kazania Schleiermacher, arcydzieło holenderskiego baroku, nie istnieje już. I tak wiele, wiele z tego co było dobre i drogie, jak mówią berlińczycy, zostało zburzone. Jeszcze smutniej-

szc jest zniszczenie niezliczonych domów robotniczych naokoło starego Berlina, w mieszkalnych dzielnicach mas. Tutaj setki tysięcy ludzi zostały pozbawione dachu nad głową.

Nie chcę malować obrazu zgrozy. Bombardowania Hamburga — bo na mniejszej przestrzeni — były straszniejsze. Katastrofa, która spotkała Berlin, jest bardziej rozprzestrzeniona. Kto jest w stanie opisać męki zasypianych, rannych ogniem, fruujących kamieniami lub podmuchem powietrza?”

— Jakże mamy plany? — pyta retorycznie dziennikarz. — Kto nas widział po pierwszych trzech „gross-angriffen” (wielkich nalotach), nie uwierzyłby, że moglibyśmy jeszcze kiedykolwiek układać plany. — Dalej pisze autor o konieczności odbudowy, karci „sceptyków, którzy kiwają głowami i twierdzą, że wielu lat wymaga samo tylko usunięcie rumowisk, ciągnących się kilometrami. „Ci, co tak twierdzą, nie są berlińczykami.”

„Autor pociesza ich, że prawdziwi berlińczycy stale mieszkali na placach budowlanych, bo chcieli coraz bardziej upiększać i przebudowywać swe miasto. „Plac budowlany będzie więc nadal losem dalszych pokoleń. Będą się one dobrze przy tym czuły.” Następuje przy tym apoteoza tego życia na placu, gdzie wśród gruzów i ruin znowu tętni życie, wybite okna zasłonięte są czystą tekturą, a do rumowisk, których nikt nie uważał za nadające się do zamieszkania, powracają znowu ludzie.

Artykuł kończy się jednak dość rewelacyjnie, sam autor bowiem nie zabiera się wcale do odkopywania gruzów, lecz udaje się na dworzec, gdzie czeka na pociąg.

„Jakiś pan — pisze on — podszedł do mnie, aby przepalić papierosa. Dałem mu ognia i zapytałem: „Czy pan również wszystko stracił?” „Nie — odpowiedział drugi pasażer — posiadam jeszcze tego papierosa, od- wagę oraz czyste sumienie”.

Czyste sumienie? — czyżby to był cudziemiem?.

General Żeligowski

Aureola wojenna nie może osłaniać zasług zbrojnych, gdy wkracza on na manowce wielkiej czy małej polityki. Gdyby się miało dzieć inaczej, Francuzi dzisiaj musieliby się korzyć przed Pétainem, na czele gabinetu angielskiego powinienby stanąć Montgomery, prezydenturę w Stanach Zjednoczonych należałoby bez wyborów oddać w ręce MacArthura, a gen. Żeligowski mógłby uchodzić za fachowca w sprawach polityki międzynarodowej.

Na szczęście jednak nawet w obliczu najstraszniejszych wojen narody wolne pozostały wierne systemom cywilnym, gotowe nawet powieścić im również kierownictwo bojów. Wojna 1914—1918 kierowali raczej Clemenceau i Lloyd George, niż Haigh i Poch, a wojną obecną — raczej Churchill i Roosevelt niż ten lub ów generał. Ciągłe konflikty między de Gaulle'em a Giraud'em są najlepszą reklamą rządów cywilnych.

Wystąpienia polityczne wojskowych w ostatnim czasie należą raczej do imprez nieudanych. Początek zrobił marsz. Smutny swym pamiętnym przemówieniem w Londynie o przyszłym porządku świata, burząc narazie ten, który istnieje, wywołując protesty, zakończone oświadczeniem miarodajnym, że autor prezentował tylko swoje własne poglądy. To samo powtórzyła się przed niewielu dniami w związku z niespodzianą deklaracją amerykańskiego dowódcy we Włoszech, gen. Pattona, że „wielka trójka” jest powołana do rządzenia światem. Nazajutrz zarówno amerykański Kongres, jak i sekretarz stanu dla spraw wojennych musieli się wyprecznić wyznania wiary swego generała. Nie będzie to naturalnie ujmą dla óreza Stanów Zjednoczonych, ani przeszkodą w natarciu na Rzym.

Niepoważność kolegów nie odstraszyły jednak gen. Lucjana Żeligowskiego i, jak donoszą komunikaty z Londynu, sięgnął on również po laury polityczne, wywołując skandal w Radzie Narodowej wystąpieniem w obronie polityki „słowiańskiej”.

Nie będziemy złośliwi i nie powtórzymy za Ozonem (podczas ostatniej kampanii wyborczej do sejmu, w Wilnie, gdzie Żeligowski był kandydatem gen. Skwarczyńskiego) bzdur w związku z jego rosyjską służbą wojskową, chociaż niewątpliwie długoletni pobyt Żeligowskiego w armii carskiej jako oficera zawodowego nie mógł przebiec bez śladu na kształtowanie się jego kategorii myślowych. Żeligowski bronił się wprawdzie przed degradacją na poziom carskiego żołnierza przez rozszytywanie się w mistycznej literaturze t. zw. słowiańskich kierunków. Przy pierwszej możliwości też przeszedł na służbę sprawy polskiej, odznaczając się w wojnie 1920 r., zdobywając rozgłos wyprawą wileńską.

Gen. Żeligowski nie był politykiem. Nawet podczas akcji wileńskiej wszystkie sprawy polityczne załatwiał jego adiutant-opiekun Aleksander Prystor (wówczas kapitan); tak dalece, że gdy jakiś dziennikarz zgłaszał się po wywiad do generała — Żeligowski po każdym zapytaniu odwracał

się do obecnego stale przy rozmowach adiutanta, zapytując, co o tym sądzi. Wówczas kapitan Prystor bez mrugnięcia odpowiadał dziennikarzowi: — „Zdaniem pana generała... i z wielką swadą sam wygłaszał „zdanie Żeligowskiego”. A generał skromnie potakiwał.

Po śmierci marsz. Piłsudskiego już nie Prystor w zastępstwie Żeligowskiego załatwiał kwestie natury politycznej, ale Żeligowski stał się mikrofonem politycznego programu grupy Prystora. Przytem głównym mentorem generała stał się redaktor konserwatywnego „Słowa”. W szeregu artykułów (w r. 1938) Stanisław Mackiewicz pasował Żeligowskiego na rycerza myśli niezależnej w sejmie posłusznym. A gdy wybuchł konflikt w komisji wojskowej (na tle słynnego okólnika Sławoja-Składkowskiego o Rydzu-Śmigłym jako pierwszym osobie po Prezydencie), Żeligowski był bohaterem dnia, Katedron Rzeczypospolitej, chociaż wiadomym było, że autorem również tego wypadu bynajmniej nie był generał.

Zacny człowiek — nie miał jednakże Żeligowski szczęścia i talentu do samodzielnych koncepcji i wyczynów. Był bohaterem z obcego natchnienia. O nieśmiertelnym Cziczikowie („Martwe dusze”) powiada Gogol, że był on „historycznym człowiekiem”, stale bowiem popadał w jakichś historie. Polityczna kariera starego generała to właśnie wiazanka takich historii, do których go pchali politycy z prawdziwego zdarzenia.

Samodzielność ideologii gen. Żeligowskiego wyczerpywał całkowicie program podniesienia polskiej gospodarki przez — wyroby samodzielną. W ostatnich latach przed wojną stary generał zamienił Żeromskiego wizję szklanych domów na kult lnianej kossuły. Nie był to, broń Boże, jakiś zakon faszystowskich kossuły (jak to było w europejskiej modzie) — Żeligowski najmniej się nadaje na wodza, chyba w jednej gminie, — ale po prostu „tutejsza teoria”, że przyszłość ziem wschodnich tkwi w samodzielnach rolniczych. Była to nędza ekonomii, wyrosła z ekonomii nędzy kresowej, program państwowy na miarę powiatu.

Dzisiaj generał gotów jest poświęcić kresowy samodzielną i pyszny len Wileńszczyzny za podejrzaną wyroby słowiańskich. Maż stanu na miarę gminy operuje pojęciami na miarę kontynentu. Ale nie każdy generał w stanie spoczynku wyrasta na Haushoffera, jak nie każdy podróżujący ksiądz (nawet ze skłonnością do awantur politycznych) staje się patriotycznym księdzem Robakiem.

Narazie jest dużo hałasu o nic. W komunikatach podkreśla się nawet sędziwy wiek Lucjana Żeligowskiego. Trudno jednakże uważać bez mała 80 lat za kwalifikację generała, który przy 50-ce miał za opiekuna kapitana. Nie powinny go również cieszyć oklaski ze strony niezręczliwych sprawie Polski. Bebel bowiem powiedział: „gdy wrogiem mnie oklaskują, boję się, że powiedziałem głupstwo”. A Żeligowski napewno nie jest mądrzejszy od trybuna niemieckiego Reichstagu...

OPINIE ANGIELSKIE Z PRASY OBCEJ

Sprawa Irlandii

(Przed wszystkim zastrzeżenie i ostrzeżenie. Nie zamierzam dać źródłowej oceny problemu irlandzkiego. Nie z powodu szczupłości ram, które mam do dyspozycji, ale po prostu dlatego, że nie jestem dość kompetentny. Do oceny tego problemu nie wystarczy bowiem sama znajomość faktów. Trzeba znać także imponderabilia.

Opowiadano mi następującą anegdotę. Dwóch Irlandczyków, lotników RAF-u, sprzeczało się podczas lotu bojowego nad Niemcami. Jeden z nich był zwolennikiem de Valery, a drugi opowiadał się przeciwko irlandzkiemu premierowi. Gdy samolot znalazł się nad Berlinem, dyskusja — ale także i niemiecka artyleria przeciwlotnicza — osiągnęły stan najwyższego natężenia. „Cóż ten twój de Valera zrobił tak dobrego dla Irlandii, że go tak chwali?” — zawołał zaperzony przeciwnik „dyktatora” Irlandii. „Dzięki niemu nie jesteśmy w wojnie”, — brzmiała odpowiedź.

Irlandia nie jest w wojnie ani z Niemcami, ani z Japonią. Irlandia jest neutralna. Tak gruntuje neutralność, że z oburzeniem odrzuciła notę rządu Stanów Zjednoczonych, domagającą się zamknięcia ambasad: niemieckiej i japońskiej w Dublinie. Z drugiej strony 200.000 Irlandczyków służy w armii brytyjskiej, a po fabrykach angielskich roi się od Irlandczyków (nb. w ubiegłym wojnie 50.000 Irlandczyków zginęło we Flandrii).

Nie, fakty tego nie wytłumaczają. Nie wytłumaczają tego historia, tragiczna i krwawa, w której największym paradoksem jest to, że Irlandczyków prawdopodobnie już w ogóle nie ma, gdyż obecni mieszkańcy „of John Bull's other Island” (tytuł sztuki G. B. Shaw'a), to nieokreślona mieszanina narodowości, z której nawet Hitler czystości rasowej by nie wykrzesał. Ci „mieszkańcy” — jak to już zwykle bywa — wydali wielu niepospolicie zdolnych ludzi. Dość wspomnieć takie nazwiska jak Robert Boyle, słynny chemik, Swift, Burke, Wilde, Shaw, T. E. Lawrence, George Moore, Yeats, James Joyce, Liam O'Flaherty i wielu, wielu innych. Innym paradoksem jest fakt udziału tak wielu Anglików w irlandzkich walkach wolnościowych, że wspomnę bodaj Nicholas Saniera i ojca jezuitę Allena, którzy brali czynny udział w pierwszym „buncie” narodowym pod dowództwem Fitzmaurice'a w XVI-tym wieku.

(Porównuje się czasami Polaków z Irlandczykami. Polacy, którzy się tym, niekoniecznie pochlebnym dla nas porównaniem w skrytości serca cieszą, zdumieni byłiby niejedną kartą irlandzkiej historii. Dość wspomnieć Sir Hugh O'Neill'a, Earla Tyrone, czołową postać irlandzkich powstań XVI w., którego trzeźwość i wyrachowanie bynajmniej nie odpowiadały naszemu ideałowi bohaterstwa.

Nie tłumaczy problemu Irlandii nawet religia. Ich gorący katolicyzm, którego prześladowanie miało wywołać ten opór, który zezwolił katolikom irlandzkim na przetrwanie. Dysydenty protestancyjni byli wówczas i później równie prześladowani, a który z ich potomków te sprawy dzisiaj jeszcze pamięta?

W żadnym wypadku nie wytłumaczy tego problemu logika. Bo gdzie jest logika we współczesnych powstaniach irlandzkich, które walczyły o sprawy zgóry (nawet bez powstań) wygrane? Gdzie jest logika w obecnym stanowisku Irlandii, które w razie zwycięstwa Niemiec sprowadziłoby na nich tysiąckroć gorszą zależność. (Zresztą komu, jak komu, — ale Polakom nie trzeba tego braku logiki tłumaczyć).

Aby zrozumieć problem Irlandii, trzeba być — mam wrażenie — Irlandczykiem. I dlatego wydaje mi się, że ci spośród Polaków, którzy z takich czy innych powodów zabierają się do rozwiązywania tego problemu, czynią niesłusznie. Problemu nie rozwiązają — prawdopodobnie nie potrafia go nawet postawić — a zraża sobie tylko... Anglików, jak niesławnej pamięci „Jestem Polakiem”, który tyle szkody sprawie i propagandzie polskiej wyrządził.

„The Two Children”

„Arts Theater Club” jest małym teatrem w pobliżu Leicester Square, londyńskiego Montmartu. Przedstawienia są dostępne tylko dla członków klubu. Teatr ten przypomina paryskie teatryki nie tylko swym położeniem, ale także wyglądem wewnętrznym i repertuarem. Na kontynencie, gdzie ludzie kochają się w „śmiałych” definicjach, nazwanoby „Arts Theater Club” teatrem eksperymentalnym. W Anglii słowo „eksperymentalny” nie jest popularne, więc teatr ten, który wystawia sztuki bardzo młodych autorów lub modernizuje sztuki repertuaru klasycznego, nie reklamuje się swoim nowatorstwem.

W roku ubiegłym ogłoszono konkurs na sztukę. Z 600 nadesłanych jury wybrało „The Children” Petera Powella, którą wystawia się obecnie.

Sztuka, którą się dzisiaj nagradza, nie może pominąć pewnych spraw, które wycisnęły swe piętno na umysłowości Anglików. Mam na myśli sprawy, które określa się sloganem „Britain of To-Morrow”. Sprawa ta są Anglicy tak przejęci, że temat ten narzucać się musiał każdemu młodymu autorowi. Nie mówiąc o tym, że powodzenie kasowe sztuk J. B. Priestley'a — o których swego czasu pisałem — było bardzo przekonującym wskaźnikiem zainteresowań.

Sztuka Powella ma także jako leitmotyw „jutro” Anglii, ale jej tematem jest właściwie „wczoraj Anglii”. To wczoraj, które nie umiało przygotować młodej generacji do grozy obecnej wojny i do problemów, jakie nas jutro czekają. Błąd założenia rzuca się od razu w oczy. To nieprawda, że młoda generacja Anglii jest nieprzygotowana do podjęcia problemów jutra. Być może, że tu i ówdzie w jakimś dworku szlacheckim dwoje dzieci wychowywało się w świecie, w którym oprócz cricketa czy konnej jazdy nie się nie działo, czy może nawet, że ten czy ów chłopak zgłaszał się ochotniczo do lotnictwa choć nie wiedział „what this scrap is about”, ale implikacja powszechności tego zjawiska jest absurdalna. W kraju najprawdziwszej wolności i swobody słowa, tak niezależnej i tak rozpowszechnionej prasy, tak rozwiniętego czytelnictwa, tak nieskrępowanych dyskusji i wymiany myśli, może się zdarzyć, że dwoje dzieci nie będzie nic wiedziało o najbardziej istotnych sprawach, ale nie będzie to na pewno winą wychowania, lecz raczej winą przy-

rodzonej głupoty. Mniejby to raziło może na tle akcji „Życiowej”, ale sztuka Powella jest „une histoire à these”. Nie charaktery są jej tłem i podłożem, ale problem.

Sztuka jest dobrze zrobiona, choć zbyt wiele w niej precyzji. Zbyt wiele spraw układa się autorowi zanaadto korzystnie, jak w komediach francuskich, tak płytkich nieraz, a tak doskonale robionych.

Ubezpieczenia społeczne w Nowej Zelandii

Aktualne wydarzenia polityczne, których ważność spotęgowała jeszcze wojna, przesłaniają rzeczywisty obraz Imperium Brytyjskiego. Sprawa drugiego frontu, sprawa wyborów dodatkowych, sprawa strajku węglowego, zawieszenie „Daily Worker'a”, „Wiadomości Polskich” czy „Marseillaise”, zwolnienie Mosley'a i setki innych podobnych spraw, to są wszystko wydarzenia, których emocjonalna wartość może być w danej chwili wielka, ale których wartość bezwzględna jest znikomą. Współczesna propaganda, operująca uproszczeniami — sloganem, afiszem, nagłówkiem — chętniej podejmuje te sprawy, bo są one interesujące i stanowią „news”. Istnieje jednak bardzo wiele innych spraw, znacznie głębszych i poważniejszych, które wyraźniej zaciągają na historię.

Jedną z tych spraw to ubezpieczenia społeczne, które dzięki planowi Beveridge'a przez pewien czas dostąpiły łaski propagandystów i potrafiły wówczas — ale nie pierwsi, ani nie później — zainteresować nawet Polaków. Nota bene, plan Beveridge'a nie jest ani rewelacją, ani czymś nowym. Była to praktyczna próba zastosowania w warunkach angielskich tych wszystkich projektów i osiągnięć, które wypłynęły i były stosowane poprzednio w Anglii i w innych krajach Imperium.

Szczególną inspiracją było dla Beveridge'a ustawodawstwo ubezpieczeniowe Nowej Zelandii. Walter Nash, wicepremier Nowej Zelandii a zarazem minister skarbu, wygłosił onegdaj na obiedzie, wydanym na jego cześć przez Fabian Society, bardzo ciekawe przemówienie o systemie ubezpieczeń społecznych swego kraju. Omawiał on tylko stan faktyczny. Cyfry, cyfry, jeszcze raz cyfry. Wydawałoby się, że takie przemówienie znudzi, że obraz całości zatoni w tym mnóstwie szczegółów, aż do znużenia ścisłych cyfr. Miarą zainteresowania problemem jest fakt, że audytorium reagowało na każdą analogię, każde najbardziej nawet subtelne porównanie, że po odczycie stawiano cały szereg precyzyjnych i rzeczowych pytań.

Najbardziej charakterystyczną cechą nowozelandzkiego systemu ubezpieczeń społecznych jest jego powszechność i wielorakość świadczeń. Oto szereg przykładów: Podstawowa pensja dla wszystkich ubezpieczonych, którzy osiągnęli 60 lat życia wynosi £ 8.4.10 — rocznie, t. zn. sztylgów 32/6 tygodniowo. Dodatek na żonę i dzieci poniżej 16 lat — po £ 27 rocznie. Wdowy bezdzietne otrzymują £ 52—65 rocznie, wdowy z dziećmi £ 78, plus normalne świadczenia na rzecz dzieci. Te stawki są bardzo wysokie i są one typowe także i dla innych rodzajów ubezpieczeń, których jest bardzo wiele i które obejmują wszystkie niemal dziedziny ludzkich potrzeb. I tak: nieletnie dzieci otrzymują zapomogę, wypłacaną na ręce matki, jeśli zarobek ojca nie wynosi pewnego — bardzo liberalnie ustalonego — minimum; ubezpieczenia od bezrobocia są stosowane zarówno do mężczyzn, jak do kobiet. Ubezpieczenia chorobowe, sieroca, renta na dożycie (niezależna od świadczenia ubóstwa), ubezpieczenia dla ułomnych i dla umysłowo chorych i wiele innych świadczeń, czyni system ubezpieczeń społecznych Nowej Zelandii najbardziej postępowym z wszystkich, współcześnie działających.

Czytelnikom, pragnącym poznać historię gospodarczą i społeczną Nowej Zelandii, polecam książkę W. B. Sutch'a p. t. „The Quest for Security in New Zealand”, wydaną w r. 1942 w dziewięciopięciowym wydaniu Penguin. Jest to bardzo ciekawa i pouczająca książka, która bez brzoźnictwa i bez zakłamania omawia historię Nowej Zelandii i jej trzech ustrojów. Nie znającogo kryzysów gospodarczych pierwotnego ustroju tubylców (Maori), którzy nie znali też prawa własności ziemi (ziemia należała do tego, kto ją uprawiał); ustroju, wprowadzonego przez angielskich kolonistów, który stworzył wielkie majątki ziemskie, należące do niewielu, i proletariatu, który nie posiadał ziemi — i nawet nie miał prawa jej posiadać; i wreszcie ustroju, który się tworzy obecnie po wyborach z r. 1935, kiedy Labour Party po raz pierwszy uzyskała większość.

H. S. Dominik

Dyskusja na tematy niemieckie

Lord Vansittart zabiera, po raz nie wiadomo już który, głos na łamach „Sunday Dispatch” z dn. 12 marca, atakując Niemcy.

Niemcy zostawiają po sobie pustynię, gdy wycofają się z Rosji. Jest to jednym z przykazań ich nazistowskiej ideologii wojny totalnej. Z dokładnością i systematycznością zgładzili gdzieś w jednym rejonie 200.000 cywilnej ludności. Nawet w swych pieśniach składają hold Attyli. Czyż mamy z zamkniętymi oczyma patrzeć, jak Niemcy mordują naszych Aliantów? Czy jesteśmy prawdziwymi Aliantami? Niemcom trzeba powiedzieć: „teraz — albo nigdy”. Albo teraz przestaniecie i skończycie te bestialstwa, albo będzie za późno i nie was nie uratuje od karzącej ręki sprawiedliwości. Jest to zaślepienie i idiotyzm, gdy niektórzy twierdzą, że Niemcy chcieliby wystąpić przeciwko reżimowi i jego polityce, że buntują się oni przeciwko bestialstwu, ale nie mogą tego uczynić, bo ich Gestapo trzyma za gardło i każe im popełniać zbrodnie. Włosi w północnych Włoszech potrafią strajkować, a czemuż Niemcy nie mogą? Narody ujarzmione uprawiają sabotaż na wielką skalę. Dlaczego t. zw. „dobrzy Niemcy” nie sabotują wysiłku wojennego? Nawet kościół niemiecki milczy. Niechże Niemcy mają odwagę Włochów. Godzina kary za zbrodnie zbliża się. Rosjanie pomśczone siebie. Obowiązkiem Brytanii jest ochronić mniejszych Aliantów. Przez zagrożenie Niemcom, że czeka ich surowa kara, można skrócić cierpienia ludności w krajach okupowanych, bo Niemcy będą liczyć się z tym, że czeka ich zemsta.

Zupełnie odmiennego zdania jest socjalistyczny tygodnik „Tribune” z 10 marca, który wierzy w „dobrych Niemców” i obawia się, by przypadkiem Niemców nie „nastraszyć”. W artykule p. t. „Bomby bez nadziei” i „oręż strachu”, pismo protestuje przeciwko akcji propagandowej Aliantów, którzy grożą Niemcom. Nie pomoże nie bombardowanie Niemiec, jeśli temu nie towarzyszy akcja wyjaśniania Niemcom, że się nie chce zagłady Niemców, jako całego narodu. Dopóki Alianci upierają się przy bezwarunkowym poddaniu się „unconditional surrender”, Niemcy nie wiedzą, co ich czeka. Ułatwia to propagandę strachu, rozpetaną przez Goebbelsa. Niemcy uszytują swój upór i wolę wytrwania. Gdy pod Kaniowem otoczono 10 dywizji niemieckich, niemiecki gen. Seydlitz przemawiał do nich z Moskwy przez radio, obiecując im, jeśli poddadzą się, dobre traktowanie, odżywienie i zwolnienie do Niemiec po zakończeniu wojny. Widocznie Niemcy są przekonani, że los niemieckich jeńców w Rosji jest ciężki i wierzą w to, że miliony Niemców zostaną w Rosji, jako robotnicy-niewolnicy, przez całe lata. Niepewność, jakie są zamiary Aliantów wobec Niemców, i utrzymywanie ich w niepewności jest niebezpieczne, bo przedłuża wojnę.

Ta sama „Tribune” pisze, że podczas gdy komuniści angielscy i polscy w Rosji prowadzą kampanię za rozbiorem Niemiec, gdy była mowa o przyłączeniu części ziem niemieckich do Polski — oczywiście komuniści protestowali, ale teraz, gdy mówi o tym Rosja, trudno odrzucić roszczenia. Wydział Wykonawczy Ruchu Wolno-Niemieckiego w Anglii, w którego skład wchodzi również i komuniści, musiał skontrolować wystąpienie Polaków w Moskwie i wydał następujące oświadczenie:

„Ruch wolno-niemiecki walczy nie tylko o demokratyczne i niezależne Niemcy, ale również o integralność terytorium niemieckiego, w granicach z r. 1933. Umożliwi to Wolnym Niemcom skuteczniejszą walkę przeciwko ponownemu wysunięciu idei odwetu i zapewnienie pokoju w Europie”.

„Komuniści niemieccy zgodzili się na podobną rezolucję pod warunkiem... że nie zostanie ona opublikowana. Teraz niech komuniści niemieccy decydują, skorośmy opublikowali rezolucję” — kończy „Tribune”.

Na temat postępowania z pokonanymi Niemcami po zwycięstwie pisze również prof. Rowse z Oxfordu na łamach „Times'a” z dn. 3 marca.

Mimo wszystkich zbrodni, popełnionych przez Niemców, większość historyków nie podtrzymałaby rozbięcia Niemiec na państewka. Mogłoby to doprowadzić po wojnie do nowego wybuchu fanatycznego nacjonalizmu. Należy jednak dążyć do stworzenia z Niemiec państwa federacyjnego. Unifikacja i centralizacja Niemiec oraz uległość wpływom Prus i Berlina stały się przyczyną militarystyki niemieckiej. Regionalizm niemiecki ma najzdrowsze tradycje, szczególnie wydajne w dziedzinie kultury. Literatura i muzyka niemiecka rozwinęły się właśnie w prowincjonalnych stolicach Niemiec. Wszystko to zniszczył ostatnio

moloch scentralizowanych Niemiec. Należy stworzyć około dziesięciu równych organizmów, wyposażonych w jednakową władzę i wystarczającą niezależność, któreby potrafiły się oprzeć wpływom Prus. Nie oznacza to bynajmniej rozbioru Niemiec, ich rozbitcia i udzielenia „niepodległości” Nadrenii, Westfalii, połowie Saksonii, Hannoveru, Prus Wschodnie, „źródło i początek zła” (fons et origo malorum), główna baza tradycji militarystycznych winny być przyłączone do Polski. Śląskowi należy — zdaniem autora — udzielić autonomii regionalnej. Austria winna odzyskać niepodległość, zaś Alzacja i Lotaryngia winny być zwrócone Francji. Federacja niemiecka to nie jest nic nowego, to wyzyskanie już istniejących dobrych cech regionalizmu niemieckiego i pacyfikacja Niemiec, które zdolne wtedy będą współżyć z Rosją, Stanami i Wielką Brytanią.

Perspektywy inwazji w niemieckim oświeceniu

Propaganda niemiecka przedstawia coraz częściej perspektywę inwazji nie tylko jako przewidzianą w niemieckich planach wojennych, ale posuwa się nawet do traktowania jej jako swego rodzaju własnego elementu strategii Rzeszy. Przykładem takiego ujęcia może być artykuł Heinza Bongartza w „Das Reich” z 23 kwietnia r.

Pisze w nim publicysta niemiecki o „tu i ówdzie mniej lub więcej otwarcie wentylowanej w ciągu ostatnich miesięcy idei, że inwazja aliancka nie może już mieć najmniejszego negatywnego wpływu na niemieckie plany strategiczne na r. 1944, lecz przeciwnie, spotka się z tymi planami w połowie drogi, dając może nawet Niemcom możliwość osiągnięcia daleko idących rozstrzygnięć.

Kompleks inwazyjny stał się propagandowym manewrem dywersyjnym. Jest rzeczą prawdopodobną, że alianci ostatecznie usiłować będą inwazji w Europie zachodniej w ciągu trzech najbliższych miesięcy. Rooseveltowi sukcesy militarne w Europie potrzebne są do reelekcji. Churchill uważać musi szybko zakończenie wojny za najbardziej istotne dla interesów brytyjskich. Żądania Stalina ukazują swe następstwa”.

Bongartz zastanawia się nad tym, co się stanie, jeśli inwazja skończy się fiaskiem. „W tym momencie nastąpi wewnętrzny rozpad tych elementów i grup sił europejskich, wciąż jeszcze żywych — mimo częstych oznak słabości — które pokładają swe nadzieje na wyzwolenie i powrót do starego ładu z r. 1939 w pomocy anglo-amerykańskiej. Będzie to wstępem do końca opozycji przeciwko nowej Europie pod przewodnictwem Niemiec. Będzie to końcem wyzyskiwania. Będzie to rewolucja dla wszystkich, którzy liczą, że Anglo-amerykanie zdołają zatrzymać Rosję sowiecką”.

Zakończenie inwazji klęską Sprzymierzonych mogłoby mieć jeszcze i inne daleko idące następstwa polityczne. Wyparte z Europy armie miałyby, zdaniem Bongartza, świadomość, że wojna europejska została definitywnie przegrana. Nasuwające się następnie pytanie, czy Niemcy przeszłyby od defensywy do ofensywy, nie może być rozpatrzone, gdyż godziłoby w tajemnicę woj-skową”.

Pozostaje — następnie — druga ewentualność: że inwazja się powiedzie. Ale następstw tej drugiej ewentualności niemiecki autor wolał nie omawiać w swoim artykule.

Powojenne możliwości eksportu z Wielkiej Brytanii

W Wielkiej Brytanii obawa przed uprzemysłowieniem się świata po wojnie jest bardzo żywo odczuwana zarówno przez sfery gospodarcze, jak i świata pracy. Czy będziemy mieli pełne zatrudnienie, czy potrafimy utrzymać wywóz na wysokim poziomie, czy będziemy wystarczająco zdolni do konkurencji, czy rynek dla naszych towarów będzie wystarczająco pojemny, oto problemy, które się tam często dziś rozstrząsa. Prócz planów nakreślenia koniunktury za pomocą polityki gospodarczej wewnętrznej lub w skali Imperium, sporo pisze się o eksporcie brytyjskim, jako podstawowym warunkowi utrzymania pełnego zatrudnienia. W trzecim zeszycie kwartalnika „Economic Journal” z 1943 r. H. Frankel zamieścił artykuł p. t. „Uporzędowanie krajów rolniczych i możliwości nowego międzynarodowego podziału pracy”. Wielka Brytania od kilkudziesięciu lat pracowała na rynku raczej wybredne i produkowała drogie ale doskonale wyroby, w myśl zasady „British the best”. Wolała ona czasem sprowadzać z zagranicy podjęcie gatunki tych samych towarów, które produkowała w najwyższym gatunku. Te gorsze gatunki przeznaczone były dla konsumpcji warstw uboższych. Najwyższe gatunki towarów wywożonych szły na rynki wybredne — dla klas uprzywilejowanych w wielu krajach. Niemcy i Japonia, kraje znacznie biedniejsze, korzystając z tego, że miały rynek pojemny wewnętrzny na artykuły podlegszych gatunków, nie potrzebowały przystosowywać swej produkcji, by zalewać świat tanimi wyrobami swych przemysłów, które zarazem były eksportowymi i pracującymi na rynek wewnętrzny. Trudno sobie wyobrazić, by Wielka Brytania zmieniła po wojnie swą politykę handlu zagranicznego. Winna ona stale udoskonalać wytwórczość przemysłową i specjalizować się w towarach, których żaden inny kraj nie potrafił tak dobrze wyprodukować. Nie należy obawiać się, że w przemysłach przetwórczych powstana po wojnie nowi producenci zagranicą. Pojemność rynku światowego na artykuły przemysłowe jest olbrzymia. W działach przemysłów, wymagających znacznego stopnia zdolności technicznych, nie mogą konkurować ze staro-przemysłowymi krajami, które dopiero uprzemysławiają się. Zawsze będą one spóźnione. Frankel kończy swój artykuł uwagą, że uprzemysłowienie takich krajów, jak południowo-amerykańskie i wschodnio-europejskie, połączone z inwestowaniem tam kapitałów zagranicznych, winno być połączone z dokonaniem w tych krajach tak pomyślanej przebudowy społecznej, by rozszerzyć pojemność ich rynków na przywóz towarów z zagranicy, i osłabić tendencję tych krajów do eksportu towarów, które zostaną wyprodukowane przez nowozałożone przemysły.

Kredyty i kapitały inwestycyjne zagraniczne winny być używane w krajach dłużniczych na podniesienie dochodu narodowego i powiększenie siły nabywczej tych krajów na rynku zagranicznym.

PROBLEMY BAŁKAŃSKIE: TURCJA

(Dokończenie ze str. 3)

skimi w sprawie zabezpieczenia istniejącego status quo. Wynikiem tych starań był Pakt Bałkański z r. 1934, w którym Rumunia, Jugosławia, Grecja i Turcja wzajemnie gwarantowały sobie granice i zobowiązywały się porozumiewać w sprawach, dotyczących państw bałkańskich, nie biorących udziału w pakcie. Takim państwem była przede wszystkim Bułgaria, która, za przykładem Niemiec i Węgier, prowadziła agitację rewizjonistyczną i nawet pośrednio nie chciała uznać istniejącego stanu rzeczy. Bułgaria nie tylko nie zgodziła się na udział w pakcie, lecz została użyta przez Niemców do storpedowania go poprzez swe przymerze z Jugosławią. Stosunki między Turcją a Bułgarią były poprawne. Sporne kwestie graniczne uregulowano porozumieniem z r. 1929.

Odpowiednikiem paktu bałkańskiego na południu był pakt o nieagresji między Turcją, Iranem, Irakiem i Afganistanem. W tym czasie doszło też do zupełnej poprawy stosunków turecko-angielskich i 12-go maja 1939 r. zawarto układ wzajemnej pomocy.

Od chwili wybuchu wojny Turcja pozostaje wierna swemu sojuszowi z Anglią,

jak tego dowiodła niedawno jej reakcja na noty angielskie w sprawie wywozu chromu do Niemiec. W związku z tym minister spraw zagranicznych Turcji, odpowiadając na pytanie dziennikarzy, oświadczył parę dni temu, że „polityka zagraniczna Turcji jest oparta o sojusz z Anglią.” Jednocześnie jednak Turcja utrzymuje poprawne stosunki z Niemcami i z ich satelitami bałkańskimi.

Niektórzy obserwatorzy polityki tureckiej są zdania, że Turcja uniknęła katastrofy dzięki nadzwyczajnym zdolnościom dyplomatycznym swych przywódców. Nie może być żadnej wątpliwości co do umiejętności kierowania państwem u ludzi tej miary, co obecny prezydent Turcji i jego współpracownicy. Z drugiej jednak strony, wystarczy popatrzeć na mapę obszaru śródziemnomorskiego, by się przekonać, że o ile w razie wojny obrona Turcji może być trudna, o tyle, póki tej wojny nie ma, Turcja posiada wspaniałe warunki do gry dyplomatycznej. Pan Memendzoglou ma rację: polityka Turcji opiera się o sojusz z Anglią. Nawet wtedy, gdy tego sojuszu nie ma.

Witold Szymański

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Nowa ofensywa we Włoszech świadczy, że bitwa już została, kiedy — mówiąc słowami rozkazu gen. Alexandra — „z północy i z południa, ze wschodu i z zachodu spadają ciosy, które doprowadzą do ostatecznego zniszczenia nieprzyjaciela”. Może już tylko godziny, a najprawdopodobniej okres nie dłuższy od tygodnia oddziela nas od skoku Sprzymierzonych — poprzez La Manche? Atlantyk? Morze Śródziemne? Adriatyk? Powinno on w ciągu kilku miesięcy zwycięsko zakończyć tę wojnę, która ciężarem już pięciu bez mała lat legła na barkach nas wszystkich.

Wiemy, że zapasy, których terenem lada dzień stanie się kontynent europejski, będą w skali swej godne wielkiej stawki, o którą wojna się toczy. Obie strony przygotowywały się do tej ostatecznej rozprawy długo, bardzo starannie i z naprężeniem wszystkich będących w ich dyspozycji sił. Państwa Sprzymierzone idą ku tej inwazji poprzez wielką mobilizację przemysłową, niemal że pełne zwycięstwo na morzu i poprzez osiągnięcie przylatującej przewagi w powietrzu. Ich potencjał przemysłowy jest wielokrotnie wyższy od niemieckiego, ich przewaga w ilości wojsk, jakimi dysponują, nie tak już przylatująca, tym nie mniej wcale znaczna.

Ale też i przeciwnik, z jakim mają do czynienia, jest wyjątkowo groźny. Przez trzy lata Niemcy, — ci sami Niemcy, którzy udzielili Francuzom tak wymownej lekcji poglądownej o nieskuteczności Linii Maginota — gorączkowo budowali umocnienia Wału Atlantyckiego. W umocnieniach tych Sprzymierzonych spotka armia, o której jeszcze nikt nie mógł powiedzieć, żeby się była źle i żeby źle była wyposażona w sprzęt wojenny.

Dlatego walka — bez względu na to czy blyskawiczna, czy długotrwała — będzie niewątpliwie pełna napięcia. Jej perypetie będziemy wszyscy śledzić z zapartym tuż, w pełni świadomości, że jesteśmy świadkami jednej z tych bitew, które decydują o losach świata, że od wyniku zależy taki czy inny bieg życia każdego z nas.

Dla nas, Polaków, walka ta będzie miała jeszcze specjalne, szczególne znaczenie. Na to aby powstała wolna Belgia, wystarczającym w zupełności warunkiem będzie, aby Niemcy były pokonane. Na to aby powstała wolna i naprawdę niepodległa Polska, trzeba — rzecz prosta — również, aby Niemcy były pokonane, ale trzeba jeszcze, aby w świecie państw sojuszniczych zaistniał taki układ sił, który umożliwił odrodzenie Polski. Pełne powodzenie planów inwazyjnych Sprzymierzonych musi przynieść spełnienie pierwszego warunku, powinno przynieść spełnienie drugiego.

Dotychczas bowiem równowaga ta była zachwiana. Rosjanie odnieśli w ciągu ostatniego roku na froncie wschodnim wielkie zwycięstwa. Nie towarzyszyły im odpowiednio wielkie zwycięstwa państw anglosaskich na Zachodzie. Taki stan rzeczy miał swoje reperkusje polityczne. Stan sprawy polskiej w obozie Sprzymierzonych w chwili obecnej jest tego najlepszym przykładem. Ale nie tylko on. W prasie brytyjskiej padło niedawno pytanie, dlaczego, skoro o losach Włoch państwa anglosaskie decydują łącznie z ZSRR, warunków rozejmu z Finlandią nie ustalały łącznie wszystkie państwa Sprzymierzone, ale decyduje w sprawie tych warunków postanowiono wyłącznie ZSRR? Jest rzeczą bardzo a bardzo prawdopodobną, że odmowa fińska wynikała z tej świadomości, że Finlandia będzie się czuła dużo pewniej wtedy, kiedy będzie miała przy stole obrad przeciwko sobie Wielką Brytanię, Stany Zjednoczone i ZSRR, niż wtedy gdy zostanie sam na sam z Rosją. Jest w każdym razie bardzo wymowna ta okoliczność, że i teraz — po odmowie fińskiej — Stany Zjednoczone nie zerwały stosunków dyplomatycznych z Finlandią.

Dlatego odpowiednio szybko i sprawne pojawienie się żołnierzy państw Sprzymierzonych w Paryżu, Rzymie czy Belgradzie — to znakomite poprawienie naszych szans politycznych. Byłoby rzecz prosta, przesadą optymizmu twierdzenie, że stanicie Sprzymierzonych mocną nogą na kontynencie europejskim to już zupełna gwarancja rozstrzygnięcia sprawy polskiej po naszej myśli, ale nie ma najmniejszej przesady w twierdzeniu, że szybko i decydująco zwycięstwo Sprzymierzonych, to dla nas w tej chwili najlepsza możliwość poprawienia naszych szans politycznych.

Aby się w tym przekonaniu upewnić, wystarczy rozpatrzyć pokrótce możliwości przeciwnie.

Na co liczą Niemcy? Niemcy liczą, że uda im się odeprzeć inwazję Sprzymierzonych, poczem spekulując na to, że dla Rosji, którą wojna ta bardzo wyniszczyła, jest sprawą szczególnie żywotną szybko jej zakończenie, przypuszczają, że uda im się zawrzeć z tą Rosją pokój na warunkach kompromisowych. Jest to maximum tego, na co Niemcy mogą mieć nadzieję. Szaleństwem bowiem byłoby przypuszczać, że w rachubach ich może się mieścić jeszcze jeden pochód na Rosję. Skoro bowiem Rosji tej nie mogli zniszczyć w latach 1941 i 1942, wtedy gdy byli względnie bezpieczni od możliwości inwazji z Zachodu i kiedy ich ośrodki przemysłowe nie były rozorane przez bomby RAF-u i lotnictwa amerykańskiego, jakieś możliwości takiego zwycięskiego pochodu teraz, po raz drugi?

Nie ma potrzeby dowodzenia, że dla nas możliwość takiego kompromisowego pokoju niemiecko-sowieckiego byłaby szczególnie tragiczna, albowiem linia podziału, rzecz prosta, przebiegałaby poprzez ziemie polskie. Czy byłaby to linia Ribbentrop-Molotov, czy też jakaś inna, leżąca może bardziej na zachód, to już z naszego punktu widzenia byłoby rzeczą mniejszego znaczenia wobec tego zasadniczego faktu, że obaj potężni kontrahenci byłiby w takim wypadku zainteresowani w miszczeniu polskości. Nie potrzebujemy zresztą teoretyzować na temat możliwości tej sytuacji, skoro znamy ją wszyscy i tak z doświadczeń po Wrześniu.

Tymczasem na odwrót — naprawdę udana inwazja to powrót do czynnej roli politycznej w obozie Sprzymierzonych kontynentu europejskiego. Oddzielony liniami frontu kontynent ten był dotychczas w obozie Sprzymierzonych wielkością raczej abstrakcyjną. Nieobecni nigdy nie mają racji, mówi przysłowie francuskie. To też wcale nie było rzeczą przypadkową, że właśnie w okresie okupacji europejskiej mogły się narodzić takie projekty powojennego urządzięcia świata, jak plan gen. Smutsa, który Europę chciał zredukować do roli przedmiotu cudzej opieki i cudzych stref wpływów.

Z momentem wyzwolenia kontynentu europejskiego powinien on zaważyć na nowo całym swym

ciężarem gatunkowym, zacząć grać całym swym skomplikowanym systemem politycznym i gospodarczym. A wtedy i sprawa polska musi wystąpić i w innych proporcjach, i w inne, korzystniejsze dla nas perspektywie. Z momentem tego wyzwolenia innego też rezonansu powinny nabrać hasła wolnościowe, te hasła, które tak pełny wyraz znalazły w Karcie Atlantykowej. Karta Atlantykowa narodziła się w r. 1941. A potem? Potem byliśmy świadkami różnych interpretacji, zważających jej poszczególne postanowienia, czasem nawet unicestwiających je. Ale inny jest patos hasła wolnościowego wśród narodów, które nie zaznały niewoli, a inny wśród tych, które od lat już z górą czterech znalazły się pod jednym z najcięższych reżimów ucisku, jakie nas historia. Oczyszczenie z Niemców znacznej części kontynentu europejskiego musi hasłem tym przywrócić ich pierwotną dynamikę, uaoocnić ich znaczenie jako siły motorycznej historii, oczyścić atmosferę polityczną świata.

Doświadczenie stare jak świat, a potwierdzone raz jeszcze w toku tej wojny, mówi, że mądrość, zdolność przewidywania, energia i przenikliwość dyplomacji jest zawsze w bardzo prostym stosunku do siły i wartości bojowej armii, która za nią stoi, i sukcesów tej armii. W pierwszych latach tej wojny przyszło nam podziwiać zreszczość, sprężystość, przenikliwość dyplomacji i propagandy niemieckiej. A dzisiaj kłeski niemieckie odsłaniają nam coraz wyraźniej tę prawdę, że ta sama niemiecka dyplomacja i propaganda, uprawiane przeciw tym samym co i przedtem ludzi, są krótkowzroczne, niezdolne, popełniają gaffy. Propaganda niemiecka egzaltuje się na temat japońsko-niemieckiego braterstwa broni, a tymczasem Japończycy oddają Rosjanom koncesje sachalińskie. Nie umieli temu zapobiec. Zawarli z Turcją korzystny dla siebie traktat handlowy poto tylko, aby niemal że zaraz po zawarciu Turcy go wypowiedzieli. Nie potrafili temu przeciwdziałać. Zapewnili sobie w Hiszpanii system współpracy, zdawali się, najtrwalszy i najsukcesowniej, bo oparty na wspólnotce ideowej. I oto system ten zaczyna obecnie trząść.

Równocześnie każdy dzień przynosi nam nowe świadectwa po temu, jak żręczna i jak wszechdocierająca jest dyplomacja sowiecka. Nie dziwnego, stoi za nią potężna armia sowiecka. Armia taka to znakomity bodziec dla zaostrenia zarówno bystrości intelektualnej dyplomatów, jak i dla wzmożenia ich energii działania.

Dlatego miejmy też nadzieję, że udana inwazja znakomicie wzmości dalekowzroczność, zdolność przewidywania i energię działania dyplomacji państw anglosaskich.

KRONIKA FILMOWA

NOWY FILM POLSKI

„Miejsce postoju Adama i Ewy” — produkcja: Referat Filmowy Wydziału Propagandy APW. Reżyser: M. Waszyński, scenariusz: Waszyński-Jeśmian, zdjęcia: S. Lipiński, kierownictwo techniczne: Steinwurz, tekst: J. Bazarowski, speaker: W. Wojtecki.

Nowy polski film jest dziś taką rzadkością, film propagandowy tak bardzo oczekiwany rarytasem, że pokaz „Miejsca postoju Adama i Ewy” w kinie „Eden” w Jerozolimie spotkał się ze zrozumiałym zainteresowaniem.

Dotąd bowiem o Walczącej Polsce, o jej armii, o naszej wojnie, prowadzonej najdłuższej ze wszystkich sojuszników, mówili tylko reportaże Cekańskiego lub filmy o dziejach z Rosji, czy występy czołwki „Polska Parada” na festynach w w. Kairze. Poważniejsze znaczenie miał film jeden — reportaż z pobytu gen. Sikorskiego na Bliskim Wschodzie. Tematy zaś takie, jak walki o Narvik, lotnictwo i flota, jak obrona ghetta, martyrologia profesorów wyższych uczelni — leżały odległym. Nie podjęliśmy ich sami, nie potrafiliśmy zainteresować innych, a gdy amerykańska wytwórnia dotknęła polskiego przedmiotu, powstała groteska „To be or not to be”.

Jugosławianie zaś postarali się, by mieć aż dwa filmy pełnoprogramowe z wak partyzanckich. Czesi rozporządzają sześcioma scenariuszami o zabójstwie Heydricha, film czeski „Hangmen also Die” reżyserii Fritza Langa, zdobywa pierwsze miejsce w amerykańskiej selekcji za rok 1943 i toruje sobie drogę do światowego sukcesu. Był czeski oddział w Tobruku — jest już amerykańska o tym relacja, w postaci obrazu, sławiącego bohaterstwo żołnierzy czeskich, a Polaków wspominającego kurtuazyjnie przez fotografię krzyża cmentarnego z orłem polskim i polskim nazwiskiem.

Dobrze się więc stało, że chociaż okres iracki, okres najmniej efektowny, bo czas postoju i ćwiczeń, w porę uchwycił obiektyw operatora. Są to częściowo zdjęcia z manewrów podczas pobytu gen. Sikorskiego, w większości zaś reportaż stanowi zasługę pomysłu i pracy dwóch ludzi: Jeśmiana i Lipińskiego, chociaż ich nazwiska w zapowiedzi filmu przykrywa nazwisko bardziej oficjalne. W trudnych warunkach terenowych, bez odpowiednich przyrządów, fotografując często z ręki, z trzęsącego samochodu, robił Lipiński zdjęcia z codziennej, prywatnej strony życia wojskowego. A więc „przebudowywania” kamienistej pustyni w piękne obozy z placami, ulicami, pomnikami, rzeźbami. Dalej — walka z deszczem, z błotem, żmudne transporty po tysiącach kilometrów, zapoznanie się ze sprzętem, z bronią, orka ćwiczeń i wreszcie egzamin — imponujące manewry. Wszystko to pokazane żywo, interesująco, po raz pierwszy w naszym reportażu wojskowym bez balastu defilad, przeglądów, przybycia, salutowania, odjechania, słowem — życie prawdziwe, na codzień, a nie świąteczna inspekcja. Ten reportażowy wycinek z przygotowań wojennych sprawia jak najlepsze wrażenie, przedstawiony widzowi przez czystą, jasną i miłą speakerkę Wojtecką.

Przywieziony z Iraku film Lipińskiego mógłby być wykonany bardzo szybko i po montażu i nagraniu dźwięku powinien być już dawno w ekrany, trafić do Anglii i Ameryki. Właśnie

Ożywiły się w ciągu ostatnich tygodni fronty na Dalekim Wschodzie. Na froncie burmańskim obie strony niemal że równocześnie przystąpiły do działań ofensywnych. Na podstawie dosyć skąpych komunikatów nie łatwo mieć jasny obraz sytuacji. Zdaje się, że najtrajniej ujęłoby ją przysłowiem: „Złapał Kozak Tatarzyna...”. Równocześnie raz jeszcze Japończycy próbują ofensywę na wielką skalę w Chinach. I w ofensywie tej mają do zanotowania pewne początkowe sukcesy.

W ten sposób w przedmnie decydujących walk w Europie Japończycy starają się umocnić na najgroźniejszym i najbardziej drażliwym dla nich froncie: burmańsko-chińskim.

Sprzymierzonymi bowiem w swej akcji zaczepnej przeciwko Japonii mają do wyboru dwie drogi: jedna z nich — to skakać z wyspy na wyspę archipelagów Pacyfiku tak długo, aż wreszcie Wyspy Japońskie znajdą się w zasięgu ich działań wojennych. Ostatni desant na Holandię na Nowej Gwinei świadczy, że armia gen. Mac Arthura jest do takich skoków doskonale wytrenowana. Są to jednak operacje, które zawsze wymagają wielkich przygotowań, koncentracji sił i z których każda kryje w sobie dużą dżę ryzyka. Im bliżej samej Japonii, tym ryzyko to będzie większe. Operacje te dotychczas udawały się Sprzymierzonym, tempo ich jednak jest takie, iż gdyby wojna z Japonią ograniczyła się tylko do nich, mogłaby się ciągnąć jeszcze długie lata.

Drugi sposób ofensywy — to przebiecie się poprzez Burmę do Chin, które reprezentują niewyczerpane wprost możliwości mobilizacyjne, pod warunkiem, że żołnierz chińskiego się odpowiednio uzbroi i że zapewni mu się stały dopływ sprzętu wojennego. Inaczej mówiąc: pod warunkiem, że znowu otwarta zostanie droga burmańska. Nowe ofensywy japońskie starają się ewentualnościom tym już zgóry, drogą przeciwdziałania, zapobiec.

Równocześnie na Dalekim Wschodzie w stosunkach sowiecko-japońskich zaszedł fakt, którego doniosłości nie sposób dosyć energicznie podkreślić: za śmieszna cenę 5.000.000 rubli Japonia sprzedała Rosji swoje koncesje w północnym Sachalinie: kopalnie węgla i szyby naftowe, które dawały jedną czwartą japońskiego wydobycia nafty. W ten sposób Rosjanie obcinają na Dalekim Wschodzie dywidendy od swoich zwycięstw na Ukrainie. Układ ten to równocześnie punkt zwrotny w stosunkach japońsko-rosyjskich. Dotychczas bowiem to Rosja była stałą stroną, ustępującą przed żądaniami japońskimi. Jedno z takich ustępstw to sławne wyprzedanie za śmiesznie niskie odczepy kolej mandzurskiej w r. 1935. Inne — to układ z r. 1925, przynajmniej Japonii koncesje w rosyjskim Sachalinie. Układ ten za-

mykał przewlekły konflikt japońsko-sowiecki, kiedy to Japonia, korzystając z rewolucji bolszewickiej — okupowała Północny Sachalin i następnie zaproponowała Rosji oddanie praw do tego kraju. Rosjanie zażądali wówczas — miliarda rubli w złocie. Jak widzimy, wartość rubla bardzo ostatnio podskoczyła.

Układ ten nabiera szczególnej wymowy, jeśli sobie uprzednimy, że masy robotników mandzurskich pracują — za zgodą, rzecz oczywista, japońską — w fabrykach syberyjskich, wyręczając w ten sposób robotników rosyjskich, którzy poszli na front. Co ważniejsze, wybuchł konflikt sinkiangski. Według wersji chińskiej, wojska chińskie rozbiły w Sinkiangu bandy kazachskich bandytów. „Tass” twierdzi, że Chińczycy wypędzili z Sinkiangu kazachskich osadników. Które komunikaty są prawdziwe, nie sposób dociec. I nie jest to zresztą ważne. Ważne jest co innego: nowe napięcie w stosunkach chińsko-sowieckich.

Żeby sytuację dzisiejszą zrozumieć, trzeba się cofnąć do roku 1933, do okresu walk nad jeziorem Hassan. Dopiero dziś widać, jak przełomowe znaczenie miały te walki. Japończycy stali bowiem wobec ewentualności ekspansji w dwóch kierunkach: albo na terytorium Mór Południowych, gdzie musieliby się zderzyć z państwami anglosaskimi, albo na bardzo słabo załudnioną, ale dla nich klimatycznie trudną Syberię Wschodnią. Walki nad jeziorem Hassan — dziś to widać jasno — były dla Japonii rodzajem próbnej wojny. Spotkawszy się z przeciwnikiem, przygotowanym na agresję, Japończycy uczynili swój wybór. Dziś zaś starają się jak najbardziej zmniejszyć ewentualną płaszczyznę tarć japońsko-sowieckich, tak aby po zakończeniu wojny z Niemcami Rosjanie mieli jak najmniej interesu w tym, by przystąpić do koalicji antyjapońskiej.

Przychodzi im to tym łatwiej, że interesy rosyjskie na Dalekim Wschodzie wcale nie pokrywają się z interesami amerykańskimi. Amerykańskie cele wojenne są tu jasne: należy zniszczyć znieuawidzonych „Japów”, najgroźniejszego konkurenta w strasie Pacyfiku. Ale dla Rosjan perspektywa okrzepnięcia na południe od Syberii potężnej — i straszliwie przeludnionej — republiki chińskiej po pokonaniu Japonii, wcale nie jest niecząstką. Optimum sytuacji na Dalekim Wschodzie dla Rosji istnieje wtedy, kiedy oba „złote” mocarstwa wzajemnie się szachują. Koncesje sachalińskie, które spadły jej tak tanim kosztem, świadczą, że wtedy odgrywa ona rolę przysłowiowego tertius gaudens. I że wtedy czuje się najbezpieczniej. Jak więc widzimy, interesy mocarstw sprzymierzonych na Dalekim Wschodzie wcale nie pokrywają się ze sobą i sytuacja jest tam ciężarna dalszymi konfliktami.

wówczas, gdy wojsko stało w habanijskiej pustyni i kirkuckich stepach, a prasa aliancka pełna była informacji, notatek i artykułów o cudownie zmartwychwstającej Armii Polskiej na Wschodzie.

Zamiast tego dopiero dziś, po roku, jak ostatnią zdobycz i nowość, pokazuje się obraz przeobrażenia, zepsuty, zdeaktualizowany, rupież, nadający się do archiwalnej skrzyni i jak rupież nagle wyciągnięty, by robić propagandę z nieprawdziwego zdarzenia.

Publiczność, zebrana na pokazie w kinie „Eden”, a daleka od fachowości zarówno filmowej, jak i propagandowej, w pierwszej chwili przyjęła obraz życzliwie, porwana scenami z manewrów, zapominając łatwo o usterekach technicznych, nie dostrzegając jego braków politycznych, nie uświadamiając sobie jego absurdów zarówno artystycznych, jak i handlowych. Reakcja publiczności nie może tu być ani argumentem, ani obroną filmu — to nie publiczność ratuje film, lecz film kompromituje i siebie, i publiczność. W przedsięwzięciach propagandowych bardzo często popełniamy ten sam błąd: przymierzamy osiągnięcie do własnych zepsutych i skurczonych upodobań, do własnych sentymentów, dalekich dla innych, zamiast stosować normalne, międzynarodowe kryteria oceny.

Otóż tych kryteriów „Miejsce postoju Adama i Ewy” w swej obecnej postaci od żadnej strony nie wytrzymuje. Przyglądy się do tej pozornie surowej oceny także i jej pozorni przeciwnik, gdy tylko szczerze odpowie na pytanie: czy zapłaciłby normalną cenę biletu kinowego, czy poświęciłby wolny wieczór dla zobaczenia tego właśnie obrazu? Czy mając inne programy do wyboru, wybrałby ten właśnie?

Poztywna odpowiedź na podobny test jest najprostszym, wstępnym warunkiem sensownej propagandy filmowej. Przechodzą pomyślnie przez tę furkę filmy, poświęcone Czechom, Jugosławianom, Norwegom, Holendrom, Grekom, Francuzom — my tylko nie możemy dojść do ścisłego egzaminu, spaleni zaraz przy pierwszej eliminacji. Dzieje się to wskutek niefachowej pracy, braku kontroli i bezsensownego przeświadczenia, że propaganda polega na przekonywaniu polskich uchodźców o konieczności powrotu do Polski, albo pobudzeniu żołnierza obrazami manewrów, które sam własnymi oczyma widział o wiele dokładniej.

Nieszcześnie tego filmu, pech jaki spotkał dobrą robotę Lipińskiego, zaczyna się od pomysłu dorobienia scen atelierowych. Reportaż roznosi się nagle o drugie tyle, obok hamsinu, czy zdjęć z irackiej ulew, stają nagle martwe scenki z arabskiej kawiarni, gdzie dwóch kolegów wspominać ma swoje wojskowe przygody. Obraz, rozciągnięty do 40-50 minut, traci cechy krótkiego metrażu, nadającego się na nadprogram, nie stając się przez to filmem pełnometrażowym, pełnoprogramowym (1 godz. 20 minut — 1 godz. 40). Z interesującego, zwiezłego reportażu rozwija się tasienie, pozbawiony akcji, o rozmiarach, z jakimi nie poradzi sobie żadne kino. Poprostu nie ma co z tym zrobić: ani program, ani dodek.

Tracąc walory handlowe, utracił film podwójnie, gdyż dokrecanie scen w emisję wraz z leniwym montażem opóźniłoby emisję filmu w stopniu, pozbawiającym go wszelkiej aktualności.

Propagowanie obecnie, gdy wojska polskie walczą we Włoszech, filmu z postoju w Iraku, byłoby dla naszej propagandy gestem conajmniej wstydlwym.

Co gorsza — owe dodane scenki są też fatalnym obciążeniem strony artystycznej i propagandowej. Sam już pomysł roznucia wspomnień i przedstawienia całości jako opowiadania dwóch przyjaciół, kłóci się w swym założeniu ze speakerką Wojtecką. Albo jedno, albo drugie. Obiektywnie podany reportaż wymaga objaśnień speakerki, subiektywnie nawarstwiający się wspomnienia wymagają innej techniki zdjęć, innego układu treści, wreszcie swoistego stylu opowiadania, prowadzonego oczywiście głosem bohatera filmu. Ożeniono tymczasem psa z kotem, łącząc jedno i drugie: po dialogu dwóch przyjaciół na skraj arabskiej kawiarenki nagle, jak Filip z konopii, zjawia się obcy speaker, dając kontrast tym większy, iż czysta dykcja Wojteckiej odbija wyraźnie od niefonogenicznych głosów i zamazanego tekstu kawiarnianego dialogu. Jest to dialog płaski, nędzny, nudny i mówiony poprzez kłuski w ustach. Doświadczenie, zrobione z Ruszają w krótkometrażówce „Polska Parada”, już powinno było dostatecznie ostrzec reżysera, podobnie jak i kilka zdjęć Utnika, aktora wyjątkowo charakterystycznego.

Ale tu znowu trafiamy na przeklełą rutynę najniższego chowu z rewii i kiepskich teatrzyków, każącą t. zw. szarego człowieka, a więc np. chłopca polskiego czy zwykłego żołnierza, przedstawiać jako ledwie okrzęszonego troglodytę, który z dobrodziejstw cywilizacji poznał tylko jedno — alkohol. Uważa się, że to śmieszne. A to ponure!

W ostatecznym wyniku powstał obraz o połowę za długi, o rok spóźniony, nie nadający się do eksploatacji, propagandowo przekreślający w scenach kawiarnianych wrażenie, jakie zdołał osiągnąć w pustynnym reportażu. W obecnym stanie „Miejsce postoju Adama i Ewy” skazane jest na wieczny odpoczynek w archiwalnych skrzyniach. Po powrocie do kraju będzie można to wydobyć, odkurzyć i pokazać krajom, jak żołnierz pracował, jak filmowiec i propagandysta psuli jego pracę. Ewentualny ratunek mógłby jeszcze polegać na ponownym pocięciu filmu, usunięciu tego, co tak słamazarnie i bez sensu przez rok czasu dorabiano, i wówczas dopiero puszczaniu w świat 12-minutowego, zwartego reportażu, z nadzieją, że wywrze on choć połowę efektu, jaki wywarłby w r. 1943.

Przy tej sposobności warto napisać liczne prymitywizmy techniki montażowej, których jest tu zbyt wiele, żeby je wyliczać, oraz usunąć pewne drobne niedopatrzienia polityczne. Oto w filmie, pokazującym odrodzenie Armii Polskiej po klęsce wrześniowej, widać różnych dowódców angielskich i polskich, nie widać natomiast ani razu twórcy tego odrodzenia, s. p. gen. Sikorskiego. Są zdjęcia z defilad przed padłym na posterunku Naczelnym Wodzem, Jego nie ma. Wycięto. Jakimi nożycami??

Jan Martyka

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero